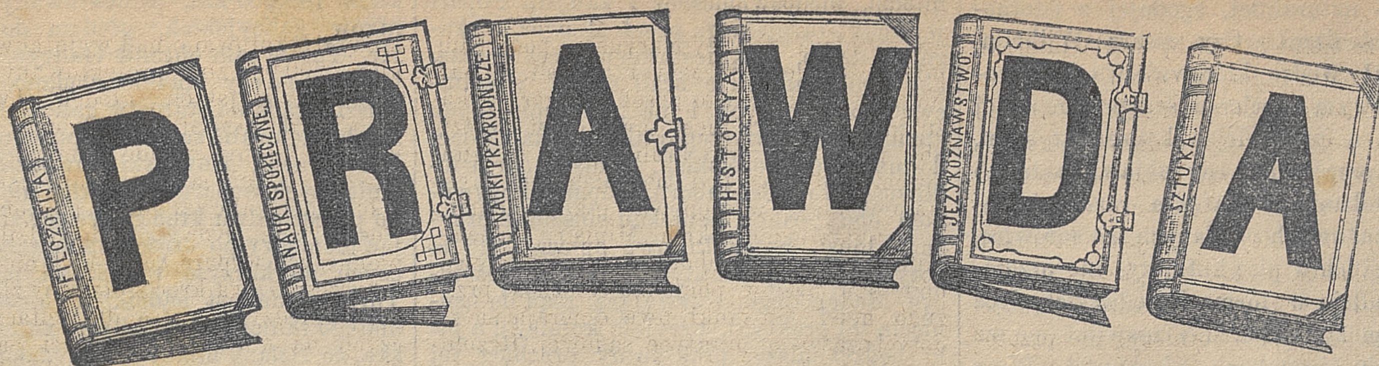
Nr. 15. Warszawa, dnia 12 Kwietnia (31 Marca) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PROMIENIE ŚWITU.

II.

Kiedy w r. 1806 podjęto myśl wystawienia pomnika ze składek publicznych Wiliamowi Pittowi, który przez dwadzieścia lat niemal wszechwładnie rządził Anglią, James Fox wypowiedział w Izbie gmin przeciw temu zamiarowi pamiętną mowę, którą Macaulay uważał za wzór politycznej mocy charakteru. Śmiałe to wystąpienie przypominają obecnie wolnomyślne żywioły niemieckie, przeciwstawiające projektowi uczczenia pomnikiem narodowym Bismarka. Co Fox mówił o Pitcie, to samo stosują one do byłego kanclerza: niepodobna wraz z człowiekiem sławić i hołdem obdarzać systemu, którego on był twórcą i który zasługuje na potępienie. Jakimkolwiek system ten był w swych dążeniach szczegółowych, czegokolwiek pragnął i dokonał, oddziaływał straszliwie, bo niszcząco, samą swoją zasadą — zasadą utożsamiania niepodobieństw i ścierania różnic, gwałcenia natury. Nieraz Bismark pojmował rzeczywistość i przekształcał ją rozumnie; ale rozciągając swą wolę aż do tych granic, do których sięgał siłą, przekraczał obręb żądań słusznych, obrzydzał i znieprawiał nawet istotne dobro. Obłąkanym nazwalibyśmy człowieka, któryby uznawszy potrzebę kształcenia terminatorów ślusarskich w rysunkach mebli stylowych, chciał zmuszać do tego wszystkich ludzi; któryby pod równikiem zalecał odzież ludów z pod bieguna północnego; któryby wynajdywał środki tępienia filoksery tam, gdzie niema winnic; któryby woły karmił mięsem a psy sianem — itd. Tymczasem właśnie tak w swej polityce postępował Bismark. On rozmaitości w rodzaju ludzkim nie pojmował, nie znosił, nienawidził. Nie uznawał i nie tolerował ani odmiennych gatunków antropologicznych i etnologicznych, ani typów kultury, ani obyczajów, przekonań, ideałów, wierzeń religijnych, nawet ortografii. Od kształtu czcionek (wyznał raz, że mu wstrętne wszelkie inne oprócz gotyckich) aż do urządzeń polityczno-społecznych, wszystko usiłował przerobić, przykrająć do swego gustu. Walczył z konserwatyzmem, liberalizmem, socyalizmem, katolicyzmem, wzdrygał się na właściwości angielskie, francuskie, gdzie mógł, tępił różnice już nie z rachuby, ale z instynktowej odrazy. Pomiędzy ludźmi jednego czasu i wspólnej części świata niema takich oddaleń w naturze, jak między zwierzętami; ale istnieją liczne, dla oka nieuchwytne, mimo to trwałe i głęboko sięgające odrębności. Hanowerczyk nie różni się od prusaka tak, jak wół od psa, jest on jednakże gatunkiem odmiennym. Sądziłby nader powierzchownie, ktoby mniemał, że tyle razy ośmieszone i potępione przez Bismarka dążności separatystyczne w Niemczech (których najdzielniejszym zapaśnikiem jest Windhorst) płynęły z płytkich życzeń przywrócenia tronu lub dawnej władzy jakiemuś straconemu lub upośledzonemu księciu. W tym „prowincyonalizmie" wyraził się duch odrębności ludów, obrona swojskich postaci ich życia. Bismark był na to ślepym. Według niego racyę bytu na świecie miał tylko prusak, a przedewszystkiem feodał pruski; pozostałe zaś żywioły ludzkie, o ile nie były potrzebne junkrowi pomorskiemu dla wygody, stanowiły rodzaj śmieci w Europie albo też szkodliwych zwierząt w gospodarstwie tego olbrzymiego folwarku, który powinien kiedyś przejść w posiadanie pruskie. To też cała jego polityka była wymiataniem tych śmieci i tępieniem tych zwierząt. Już nie rozumowanie, ale fantastyczny sen nie zdołałby wprowadzić do jego głowy pojęcia praw obcego narodu do życia, skąd pruski mógł go wyprzeć lub ujarzmić. Żadna mądrość nie byłaby w stanie przekonać go, że nad Renem powinna rozwijać się samorodna kultura od czasu, jak tam stoją korpusy pruskie. Z podobnych roszczeń i skarg on śmiał się tak szczerze, jak tygrys z gazel, gdyby mu tłomaczyły, że mają prawo wraz z nim żyć w jednej okolicy.

Takie „normowanie" i utożsamianie, poparte siłą, nie jest wyłącznie szkodą tych, których krzywdzi i gwałci: naraża ono bowiem na nieobliczone straty całą cywilizacyę, która największe zyski odnosi z rozmaitości uzdolnień, kierunków życia i pracy. Pomimo że ludzkość dokonała wiele, daleko mniejsze ma zdobycze, niż potrzeby i braki. Żaden zaś naród, żaden gatunek człowieczy nie dowiódł w historyi i nie dowiedzie nigdy, ażeby on sam podołał wszystkim zadaniom życia, ażeby sam posiadał w swem łonie mądrość i dobro; przeciwnie, najdrobniejsze społeczeństwa przyjmowały udział w ogólnym postępie świata i zbogacały go cennymi owocami swych talentów i trudów, a rozwój ludzkości wtedy szedł najprędzej, gdy jej rozmaitość była największą. Zniszczenie przeto najmniejszej, żywotnej gromadki ludzkiej, a nawet jednostki, stanowi szkodę nietylko jej samej, ale wszystkich narodów, z którymi ona wspólnie pracuje. Polityka „realna," którą udogmatyzował Bismark i dla której znalazł tylu wyznawców, może szydzić z doktrynerów, broniących prawa do życia odrębnych garstek ludzkich, może przedrwiwać ich sentymentalizm; w nich wszakże przechowuje się nietylko szlachetność, ale i rozum. Natura stwarza ciągle rozmaitość, głupim przeto jest każdy, kto usiłuje zaprowadzić jednostajność.

Niemcy stękali pod brzemieniem militaryzmu, ciężarów podatkowych i nadmiernych ofiar dla podtrzymania zewnętrznej potęgi państwa, ale głównie gnębił i wyniszczał ich system „normowania" wszelkich objawów życia według jednego modelu i tępienia konieczných, przyrodzonych i historycznie uwarunkowanych jego odmian. Blask tryumfów politycznych kanclerza nie zasłonił im tej ciemnej prawdy, że cywilizacyjnie ubożeją i dalej ubożeć będą. Skoro więc odszedł twórca jednolitej komendy, na widnokręgu przyszłości zaświtała im

nadzieja, że odtąd żyć będą swobodniej, to znaczy — naturalniej, zgodniej z istotnemi pragnieniami. Czy cesarz Wilhelm który ujął wodze kierownictwa państwowego po swym kanclerzu, ściągnie mocniej liberałów a puści lejce konserwatystom, czy zrobi przeciwnie, czy objawi takie lub inne upodobania, w każdym razie nie będzie uważał swych poddanych za surowiec, nie wrzuci ich w piec hutniczy, nie przetopi i nie odleje w formach jednakich, lecz pozwoli im żyć szczerze i rozwijać się we wszystkich kierunkach odrębności. W to wierzą niemcy i ta właśnie wiara jaśnieje w ich nadziejach promieniami świtu.

Z AUSTRYI.

Stosunki galicyjskie w komisyi budżetowej. — Dyskusya nad zapomogą głodową w parlamencie. — Kto winien klęski, wybory czy żydzi? — Nędza żydowska i wniosek posła Rappaporta w Kole polskiem. — Upadek fundacyi Hirschowskiej.

Jeżeli konstytucyonalizm w Austryi nie pod każdym względem wiedzie do tak rychłego i energicznego usuwania stosunków niesprawiedliwych i krzywdzących pewną część ludności, jak tego przykłady mamy w Anglii, jeżeli nie jest kostytucyonalizmem czynu, to jest, przynajmniej w całej pełni konstytucyonalizmem słowa. Mówić wolno w parlamencie i w komisyach z całą bezwzględnością. Czytając sprawozdania z posiedzeń, niejeden sądzićby mógł, że to kraj złotego patryarchalizmu republikańskiego. Prześliczne rzeczy mówiono niedawno na posiedzeniu komisyi budżetowej Rady państwa o stosunkach galicyjskich, rozbierając najboleśniejsze strony życia społecznego. Wiadomo, że sądownictwo galicyjskie przedstawia pod wieloma względami unikat w państwie austryackiem. Poseł Madejski, który zeszłego roku w sejmie galicyjskim wygłosił świetną mowę o tym przedmiocie, domagał się obecnie od rządu stosownych rozporządzeń, iżby w sądach pierwszej instancyi tacy tylko członkowie wyznaczani byli na sędziów śledczych, którzy wskutek swej rangi lub lat służby dają rękojmię, że potrafią zachować samodzielność wobec wniosków prokuratora, nie zaś, jak to dziś często bywa, funkcyonaryusze podrzędni, młodzi, niedoświadczeni i zawiśli. Poparł wywody Madejskiego poseł Menger, wykazując nadto, jak niestosowną jest rzeczą, aby prokuratorowie brali udział w agitacyach politycznych i na „niebezpiecznych stanowiskach“ występowali jako kandydaci do mandatów poselskich. Minister sprawiedliwości, hr. Schönborn, odparł, iż wywodom obu posłów poniekąd słuszność przyznać musi. Stosunki owe opierają się na dotychczasowej praktyce sądowej. Rezolucyę Madejskiego, wzywającą rząd do usunięcia tej praktyki, przyjęła komisya; a jaki będzie dalszy, praktyczny przebieg tej sprawy, również wiadomo, aczkolwiek minister wskazówek w tym względzie nie udzielił. Lecz nie o tem, co się dzieje, ale o tem, co się mówi, donosimy dzisiaj: zatem wspomnieć jeszcze wypada o drugiem przemówieniu Mengera, dotyczącem również jednej z ran Galicyi. Menger zarzucał rządowi nadużywanie „objektywnego“ postępowania w sprawach prasowych. Stan dzisiejszy musi każdego prawnika oblewać rumieńcem wstydu. Konfiskuje się w Austryi pisma, bez wskazania ustępów, które zawierają istotę czynu zbrodniczego, i bez wytoczenia procesu autorowi; dowolność cenzorów jest prawie nieograniczoną. Należałoby wydać nowelę, w którejby jej zakreślono granice właściwe.

Dzielnie przemówił też poseł Gniewosz, podnosząc sprawę swobody osobistej w Galicyi. Nie szanuje się jej tak, jak to być powinno w państwie konstytucyjnem. Odnosi się to zwłaszcza do ludności wiejskiej. Nieraz bywa, że ludzi poważnych wiodą milami pod eskortą żandarmów, nie mogąc im następnie wykazać żadnego naruszenia ustawy. Na los ten narażani są najczęściej rusini, których postępowanie takie napełnia niechęcią ku rządowi austryackiemu. Gniewosz niejednej jeszcze dotknął strony praktyk galicyjskich. Zdarzały się w procesach politycznych wypadki, że kobiety uczciwe zamykano w więzieniu razem z prostytutkami. Sędziowie i prokuratorowie zaś podkopują sami zaufanie swej niezależności, wycierając przedpokoje wybitnych dostojników politycznych.

Galicya jednakże budzi zazdrość innych krajów korony austryackiej tem, że otrzymuje milionowe lub krociowe „podarki“ od rządu. Zapominają one, że jest to raczej skutek jej nieustającej nędzy, aniżeli czułości opieki. Zarzut ów podnieśli na nowo szlązacy w parlamencie austryackim, kiedy dyskutowano nad wyjątkowym zasiłkiem 700,000 złr., projektowanym dla rolników galicyjskich, głodem dotkniętych. Hr. Taaffe sam obronił Galicyę, wykazując, że gdyby spełnić chciano wszystkie słuszne żądania starostw galicyjskich, należałoby uchwalić zapomogę pięciomilionową. Poseł ruski, Kowalski dowodził, że z dawniejszych wsparć cesarskich nie rozdzielono przeszło dwa kroć stotysięcy złr., używając pieniędzy po części dla agitacyj wyborczych na korzyść większości parlamentu. Türk natomiast sądził, że klęska szlązka dlatego mniej jest dotkliwą, aniżeli galicyjska, że Szlązk mniej jest zżydziałym. Ostatni głos przed sprawozdawcą miał Jaworski, który swe przemówienie zakończył słowami: „Zapewniam panów, niema nic przykrzejszego, nic boleśniejszego dla reprezentanta kraju, jak w takim wypadku odwoływać się do dobroczynności. Nie śledźmyż przyczyn niedostatku i nie patrzmy na rzecz ze stanowiska antysemityzmu. Nieszczęście stało się, a zapewniam panów, że o wiele więcej szkody zrządziły u nas w roku zeszłym myszy, aniżeli żydzi.“

Zarzut, podniesiony przez Türka, mimo swej popularności, dlatego może nie znalazł echa w Kole polskiem i w Galicyi, że równocześnie z klęską ludności rolniczej, żydowska, handlująca i rękodzielnicza wpadła w nędzę, o której straszne szczegóły doszły do wiadomości publicznej. Poseł krakowski, Rappaport, odebrał memoryał w tej sprawie, a otrzymawszy nadto informacye szczegółowe od korespondentów prywatnych, przedstawił na posiedzeniu Koła polskiego stan rzeczy. Stwierdził, że powody nędzy ludności żydowskiej są nietylko ekonomiczne i że powinny być zbadane dokładnie. Wniósł więc wyznaczenie komisyi, któraby zajęła się zbadaniem materyału, dotyczącego nędzy ludności żydowskiej oraz ogólnego jej położenia ekonomicznego w Galicyi, i któraby następnie przedstawiła Kołu wnioski właściwe. Nad pomysłem tym rozprawiano dość długo: zabierali głos Bobrzyński, Chrzanowski, Piniński, Rutowski, Lewakowski, ks. Czartoryski i Jaworski. Chociaż zgodzono się, że sprawą tą powinien się właściwie zająć sejm krajowy, postanowiono rozpatrzeć memoryał i zastanowić się nad środkami pomocy doraźnej, a nadto podjąć zbadanie przyczyn nędzy. Przyjęto też dodatek Jaworskiego, aby odnośna komisya zwróciła uwagę na niedostatek szerzący się i u ludności innych wyznań w miastach i miasteczkach.

---

1)

W PIĘKNEJ WILLI.

Pan Browicz spoglądał na swoje róże, rozkoszował się różnokolorowymi bukietami, kołyszącymi się na wysokich pniach, roznoszącymi w koło upajające wonie. Kochał on nad wszystko kwiaty, wśród nich róże sztamowe, a nawet kto wie, czy nie była to jego jedyna miłość. Miał wprawdzie żonę i dzieci, zapewne też kochał je... jak kochać należy. To jednak pewne, że nie zajmowały zbyt wiele miejsca w jego myśli. Należał do rodzaju ludzi przywiązanych do swojej własności, a żona, córki, syn—były to własności ruchome i z tego powodu zakłócały mu czasem błogi spokój. Browicz zaś cenił spokój tem więcej, iż długo pracować musiał na wywalczenie sobie stanowiska, majątku, stosunków, słowem tego wszystkiego, co dziś posiadał.

Róże sztamowe oprócz wdzięku mają przymiot niemały — nie potrzeba się do nich schylać. Browicz schylał się nieraz, choć nie lubił, ale nigdy nie czynił tego darmo. Leniwym z pewnością nie był, jednak męczył się zawsze, o ile mógł, najmniej.

Jego małe, siwe, latające oczy, gdy miał w tem interes, przeszywały człowieka, wyczytując go do głębi; ale gdy go o co proszono, nabierały zimnych odblasków stali. Ludzie wyrachowani często wydają się twardymi, i on nieraz był zmuszony okazać się twardym. Świadczyła o tem linia brwi zagiętych, złączonych nad nosem meszkiem gęstym, która nadawałaby ostry wyraz całej fizyognomii, gdyby nie to, że brwi te, jak i cały zarost, były rudawego koloru a zatem różniły się mało od ogorzałej twarzy.

Okrągły, rumiany, choć już ze szpakowatym włosem, nosił na twarzy wyraz zadowolenia, pochodzący z wyrobionego stanowiska, pewności jutra i tego wewnętrznego spokoju, który najczęściej daje—nie mądrość, jak twierdzą filozofowie, nie czyste sumienie, jak znów twierdzą moraliści, ale pewną dozę obojętności, nawet samolubstwa, będącego „najlepszym puklerzem dla piersi, w której serce nie uderza.“

Tak przynajmniej mówi przenośnia poety; w rzeczywistości bowiem serce pana Browicza uderzało regularnie siedemdziesiąt dwa razy na minutę, jak uderzać powinno serce pięćdziesięcioletniego przemysłowca, którego interesy są w porządku, który ma żonę flegmatycznego usposobienia, dorastające córki, nieobdarzone żadnym nadzwyczajnym talentem, syna, który, choć skończył gimnazyum, nie zabierał bliższej znajomości z lichwiarzami—i którego jedyną namiętność stanowią niewinne kwiaty.

Można też poznać odrazu, iż człowiek, obchodzący z tak zadowolonym uśmiechem swą kolekcyę róż, jest rozsądnym, życie bierze takiem, jakiem ono jest, nie wymaga od niego zbyt wiele, po obłokach nie lata i zajmuje się kwestyą społeczną oraz zagadnieniami dzisiejszego świata o tyle tylko, o ile go osobiście obchodzą.

Zresztą dla wszystkich abstrakcyjnych marzeń, idei, poglądów, rozumowań, słowem dla tego wszystkiego, co Napoleon nazwał ideologią, Browicz miał tylko uśmiech, a ten według upodobania można było uważać za obojętny, sceptyczny, pogardliwy—i jak jedwabnik owijał się przędzą dobrobytu. Jeśli zaś jaki zapaleniec — tacy się zdarzają — zaczepił go wprost w tych materyach, odpowiadał przysłowiem francuskiem, iż dobrze zrozumiane miłosierdzie zaczyna się od własnej osoby. Nie odmawiał datków na różne filantropijne cele, ale czynił to w ten sposób, jak się daje trzygrosznik żebrakowi wołającemu, że nie jadł i nie pił od rana, choć czuć od niego wódkę zdaleka. Był to tylko rodzaj odczepnego.

Nie był on gorszym od drugich, nie pragnął też wcale być lepszym, ani za lepszego uchodzić. Od marzycielskich pokuseń odgraniczał się szczelnie lekceważeniem, tak

Ani nędza Galicyi, ani nędza ludności żydowskiej nie uczyniła rządu skłonniejszym do przyjęcia milionów barona Hirscha, które, bądź co bądź, wydane być mają w Galicyi i stosunki ekonomiczne ludności żydowskiej na lepsze popchnęłyby tory. Nie pomogło, iż minister Zaleski szczerze jej był przychylnym. Fundacya Hirschowska jako instytucya krajowa przepadła niepowrotnie, a milionami rozporządzać będzie komitet wybrany z łona wiedeńskiej *Aliance israélite*. Takim jest najnowszy obrót tej sprawy, tyle ważnej dla żydów a pośrednio i dla Galicyi; obrót niekoniecznie fortunny, zawierający zarzewie przyszłych niesnasek i niechęci. O losach fundacyi oraz o ostatecznem jej ukształtowaniu się doniesiemy czytelnikom *Prawdy* w jednym z najbliższych numerów.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po wyhałasowaniu się wielbicieli kanclerza podczas rocznicy jego urodzin we Friedrichsruhe, po spaleniu mnóstwa pochodni i słów entuzyastycznych, wrzawa spowodowana jego ustąpieniem przycichła. Już dziś spokojnie płyną fale powodzi listów i telegramów, a wylew ten z dniem każdym zmniejszać się będzie aż zejdzie do wązkiego strumienia dowodów pamięci o człowieku kiedyś potężnym, ale obecnie już tylko prywatnym. Chociaż Bismark we Friedrichsruhe wzniósł toast za zdrowie cesarza, a cesarz przybył w Berlinie na ucztę do jego syna, przepaść, która rozwarła się między nimi coraz bardziej ukazuje swą głębię i już nie zbliży do siebie jej brzegów. Zresztą Wilhelm II — jak zapowiedział — płynie „pełną parą“. Po zakończeniu konferencyi robotniczej, wziął się do armii i wydał rozporządzenie, naganiające w niej zbytki i otwierające drogę karyery oficerskiej ludziom wszelkich sfer, nie, jak dotąd było, wyłącznie szlacheckiej. Ponieważ cios ten ugodził bogate i rozpanoszone junkierstwo, które przywykło do łask i pochlebstw tronu, więc sprawił wrażenie. Przeceniają go wielce gazety angielskie, ogłaszając już, że cesarz Wilhelm okazał się reformatorem stojącym na wyżynie swego czasu, że jest mężem godnym podziwu, itd.; zaprzeczyć jednak trudno, że i ten drugi krok zdradza niezwykłą energię. Jeżeli prawdę odsłania świeżo wydana broszura p. t. *Er geht — was nun?*, miał się wytworzyć w Niemczech związek patryotyczny, na czele którego stoi cesarz z nowym kanclerzem i ministrem wojny. Związek pragnie we wspólnej pracy połączyć rozprzężone i znarowione przez Bismarka stronnictwa, dać im inną, nie tyle polityczną, ile społeczną podstawę i z wielu grup drobnych utworzyć dwie główne—może na podobieństwo torysów i whigów w Anglii. Rzecz szczególna, Wilhelm II, który ciągle zapewnia, że naśladuje dziada, a przypomina raczej ojca, zdradza mocno dziedzictwo cech angielskich po matce: umiłował marynarkę i podróże morskie, admirała powołał na stanowisko kanclerskie, chce parlament upodobnić do angielskiego, a wreszcie popiera widocznie przedsięwzięcia i zabory kolonizacyjne w innych częściach świata. Najęty przez rząd niemiecki Emin pasza wydał w imieniu tego rządu odezwę do krajowców i wraca wgłąb Afryki, ażeby tam z pomocą majora Wissmana i potężnego handlarza arabskiego Tipu-Tipa rozszerzać posiadłości Niemiec.

Jakkolwiek bezrobocia od paru tygodni wybuchły bardzo licznie w rozmaitych punktach Europy, wszędzie przebieg ich był bardzo spokojny. Dopiero w Wiedniu ruch ten spłynął się w jedno łożysko z rynsztokami antisemityzmu i zwykłego rabusiowstwa, wezbrał na przedmieściach i dokonał gwałtownych spustoszeń. Tłum wybijał szyby, ograbiał sklepy, starł się wreszcie z policyą i wojskiem i dopiero po krwawej walce został zatamowany. W dzielnicach nawiedzonych burzą wzmocniono patrole i środki bezpieczeństwa publicznego.

Lepsze chwile przeżyła Portugalia: król wydał dekrety, zapewniające wolność prasie i swobodę stowarzyszania się, zapowiadające reformę kodeksu karnego, a jednocześnie tekę ministra oświaty powierzył liberalnemu Arroyowi.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KONFERENCYA BERLIŃSKA.

I słowo stało się — słowem, odzianem w inną formę. Nieokreślone obietnice, wypowiedziane przez Wilhelma II w dekretach, odbyły już w zwołanej konferencyi berlińskiej próbę ogniową i wcieliły się w nową postać — gorąco wyrażonego życzenia. Wraz z tem przeobrażeniem opuszczamy stanowisko teoretyczne, które dotychczas zajmowaliśmy. Mówiąc o dążeniach młodego monarchy, sądziliśmy je ze stanowiska zjazdów przeszłorocznych w Paryżu i przedwstępnego w Hadze. Najwybitniejsi przedstawiciele różnokrajowych partyj polityczno-najmickich uchwalili tutaj cały szereg żądań wspólnych, wśród których przedewszystkiem wymienić należy następujące: zupełne usunięcie dziatwy młodszej od lat 14 z zakładów przemysłowych, 6-godzinną pracę dzienną dla młodzieży obu płci od lat 14 do 18, 8-godzinną zaś dla osób dorosłych, obowiązkowy jeden dzień odpoczynku w tygodniu, zamknięcie gałęzi przemysłu szkodliwych dla zdrowia personelu a także zabronienie niezdrowotnych metod technicznych, wprowadzenie minimalnego poziomu dla pobieranej płacy, jednakiego dla obu płci i wszystkich krajów. Dla dopilnowania tych wymagań, gdyby uczyniono im zadość, żądano ustanowienia szczególnych międzynarodowych instytucyj inspektorskich, któreby wychodziły z wyboru, dokonywanego przez najmitów; przytem ustawodawstwo winno rozciągnąć się nietylko na produkcyę fabryczną, lecz i na tak zwany „przemysł domowy.“ Uchwały te miały zostać poparte odpowiednio skierowanemi manifestacyami w dniu pierwszego maja. Naturalnie, dość ogólnie rzucić okiem, aby zrozumieć, że nie baczono tutaj na interesy przemysłowców. I w rzeczy samej przeprowadzenie tego planu groziłoby ruiną całym grupom wielko- i drobno-kapitalistycznym. Przedewszystkiem ofiarą padliby drobni wytwórcy, którzy wytrzymują współzawodnictwo z wielkim przemysłem, między innemi dzięki swobodzie wobec ustawodawstwa fabrycznego. W dalszym zaś ciągu bankructwo groziłoby też tym wielkim przedsiębiorcom z mniej rozwiniętych ekonomicznie krajów, którzy liczą głównie lub jedynie na rynek wszechświatowy. Wprawdzie są tacy, co sądzą, że dzięki zmniejszeniu godzin pracy odpowiednio podniesie się wydajność najmitów (przyczem wszakże rachują na niejednakowy poziom zarobków). Ta zależność pomiędzy natężeniem a krótkotrwałością pracy nie może podlegać najmniejszemu wątpieniu; atoli aby nastąpiło zrównanie w odpowiedniem kierunku różnych krajów z odmienną pracującą teraźniejszością, po-

---

samo, jak od ulicy odgraniczał żelazną kratą swój ogród pełen pięknych róż, cienistych klombów i swą piękną, bluszczem obwieszoną willę.

W biedę ludzką nie wierzył; była ona tylko w jego przekonaniu owocem próżniactwa lub głupoty. Zresztą w walce życia był zawsze zwycięzcą; nie darmo miał silnie osadzone szczęki, opatrzone potężnymi, ostrymi zębami, jakie na każdym szczeblu rozwoju bywają udziałem osobników, niedających się łatwo pokonać. W obejściu był łatwy, w interesach okrągły. A jednak ludzie nie lubili mieć do czynienia z tym uśmiechniętym człowiekiem, który nigdy się nie uniósł, nigdy nie ustąpił i nigdy się nie dał ubłagać... Zresztą, najprzyjemniejszy z ludzi, byle tylko w grę nie wchodziła żadna kwestya osobista, czy to materyalnej, czy moralnej natury.

Według zwyczaju Browicz pił poobiednią kawę na ganku... Była wyborna, przyrządzona, według wypróbowanych przepisów, jak wszystko, co służyło do jego osobistego użytku, jak cygara, które także na tę godzinę dobierał specyalnie. Zwykle palił je smakowicie w błogiem *far niente*, bujając się na trzcinowym fotelu. Miał prawo do odpoczynku: cały ranek poświęcił swej fabryce, interesom, czynnościom urzędowym — po obiedzie należało tylko do niego. Teraz jednak, zamiast bujać się spokojnie, obchodził swoje róże.

Żona z córkami była na wsi. On samotności nie lubił, bo umiał się zawsze bliźnimi posłużyć a w samotności musiał posługiwać sam sobie, w tem naturalnie, co nie należało do obowiązków służby. Zresztą rozmowy jego z rodziną nie były zwykle zbyt urozmaicone; najczęściej dotyczyły potocznych przedmiotów a w lecie kwiatów, do których czuł jakąś sielską miłość.

— Spójrz no, Zosiu, na *Princesse d' Orléans*—mówił np., wskazując odpowiedni gatunek — wiele ma pączków?

Albo:

— Zdaje mi się, że chrząszczyki obsiadły *Gloire de Dijon*, zdejm je, Maryniu!

Zapytywał też je o ogrody znajomych, u których bywały. Tym sposobem za pomocą córek zwiedzał swój kwietnik, posyłając je raz po raz na sprawdzenie jakiej wątpliwości oraz kwietniki innych, o których mu opowiadały, a tymczasem żona bujała się w drugim fotelu uśmiechnięta i milcząca.

Pani Browiczowa odznaczała się zgodnem usposobieniem, dobrem zdrowiem i rozrosłą piersią. Browicz wybrał ją sobie umiejętnie z pomiędzy wielu właśnie dla tych przymiotów i wcale się nie omylił.

W czasie nieobecności rodziny mógł wezwać Fräulein Augustę, trudniącą się gospodarstwem domowem i czynił jej te same zapytania, co córkom, na które prawdopodobnie odpowiedziałaby równie dobrze, jak one, przytem Fräulein miała oczy jak niezapominajki, usta jak gwoździki, policzki jak róże, nosiła więc cały kwietnik na obliczu i zapewne z tego powodu cieszyła się łaskami miłośnika kwiatów, który rozmawiał z nią chętnie, ale działo się to zwykle ukradkiem; nie chciał widać nadawać rozgłosu tym rozmowom i dlatego, nie wzywając nikogo, sam z wzorową troskliwością obchodził swoje róże, zbierał chrząszczyki, obrachowywał kwiaty, a nawpół rozwinięty pączek *Maréchal Niel* urwał i zatknął w dziurkę od guzika.

Była to właśnie godzina spaceru, gdy na żwirowym dziedzińcu zaskrzypiały koła. Ekwipaż świeży połyskiwał w świetle słonecznem, kare konie parskały w eleganckiej uprzęży z cyframi Browicza, groom ubrany w szafirową liberyę trzymał w ręku błękitne lejce.

Browicz lubił przejeżdżać się po alejach i Łazienkach, pokazując swą zręczność w powożeniu pysznymi karymi anglikami. Zwracał powszechną uwagę, gdy kierował ognistym zaprzęgiem, kłaniając się znajomym, zerkając nieznacznie na piękne panie, które, jak szeptano, obchodziły go więcej, niż na ojca rodziny przystało, a za nim siedział groom z założonemi na piersiach rękami, nieruchomy jak posąg, milczący

trzeba niejakiego i nawet znacznego czasu. Niech będzie to tylko okres kilkoletni, a wystarczy już do wywołania bardzo opłakanych dla przemysłu oddzielnokrajowego skutków... Co więcej, gdyby partye polityczno-najmickie odpowiedniem postępowaniem zniewoliły odrębne kraje do wkroczenia na wytkniętą drogę, znalazłyby sojuszników wśród przemysłowców z tych państw, które doszły do większego rozwoju ekonomicznego. W tym względzie pouczającym jest kongres angielskich „królików" bawełnianych" w Blackburnie (25 paźdz. 1889) dla popierania robotników hinduskich, występujących z żądaniem prawodawstwa fabrycznego. Łatwo więc można zrozumieć całą obawę, wywołaną tymi zjazdami wśród świata przemysłowego z mniej posuniętych krajów, zwłaszcza gdzie, jak w Niemczech, tak silnie się rozrosła polityczna partya najmicka. Istnieją tam tylko dwie drogi wyjścia: albo trzeba zmiażdżyć rozwijający się ruch siłą zbrojną, uwieść go obietnicami i sprowadzić na tory inne, lub też przyjąć postawione zasady i przeprowadzić je zgóry na podstawie międzynarodowej ugody co do rozmiarów każdokrajowej produkcyi. Ugoda ta zapewniłaby, mimo krańcowego prawodawstwa fabryczno-międzynarodowego, dawny wywóz pojedynczym a niżej rozwiniętym krajom. W ten sposób regulowanie rynków leżałoby przedewszystkiem w interesie przemysłu wielkiego mniej posuniętych w nim krajów i byłoby rzeczą niekonieczną, jeśli przeprowadzenie reform odbywałoby się pod bezpośrednim a silnym naciskiem najmitów.

Wobec tych wywodów, chyba niepodobna położyć na karb przypadku tej okoliczności, że projekt rozwiązania kwestyi wyszedł właśnie od władz niemieckich. Zapowiedziany on został w znanych już dekretach. Gdyby chciano go rozwiązać na tak szerokiej podstawie, jak tego wymagają uchwały w Hadze i Paryżu, żądające międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego, idącego zgóry, koniecznie należałoby wtedy połączyć sprawę odpowiedniego uregulowania produkcyi. Takiem było nasze stanowisko dotychczasowe w tej kwestyi, wciąż bowiem staliśmy na gruncie programu paryskiego (8-godzinnej pracy dla dorosłych itd.). Tymczasem ktoś porwał nasze pojęcie prawodawstwa międzynarodowego, lecz nie zapytał o jego treść (a raczej podstawił inną) i począł jak maczugą wywijać dowodzeniem, że wskazany związek nie jest konieczny. Naturalnie twierdzenie to jest najzupełniejszą prawdą, jeśli weźmiemy inną, a mianowicie skromną osnowę ustawodawstwa międzynarodowego, taką chociażby, jaką wypracowała tylko co zakończona konferencya berlińska. A warto się jej przyjrzeć dla wielu względów. Wygląda on tak bledziuchno po porównaniu z wymaganiami powyżej skreślonemi, że nawet przewyższyła w tej mierze nasze oczekiwanie. Nadaremnie bowiem poszukiwalibyśmy tu czegoś w rodzaju ograniczeń dla dorosłych robotników, zamknięcia szkodliwych gałęzi przemysłu lub owej minimalnej granicy międzynarodowo-zarobkowej. Wszystko skurczyło się do ograniczenia pracy dzieci, podrostków i kobiet. A zatem konferencya uznała, że byłoby to nader „wünschenswerth," gdyby oddzielne, uczestniczące w zjeździe mocarstwa, zgodziły się na punkty następujące: dzieci do lat 12 winny być wykluczone od zajęć fabrycznych; dla krajów południowych to minimum wieku zniżyć można do lat 10, przytem dzieci obowiązane są uprzednio odbyć przynależną powinność szkolną; przed skończeniem lat 14 nie wolno ich zatrudniać nocą lub w niedziele i w szkodliwych dla zdrowia zawodach, sama zaś praca nie może przewyższać sześciu godzin dziennie, przedzielonych półgodzinną pauzą; podobne ograniczenia we względzie pracy nocnej i świątecznej należałoby zastosować i do młodzieży 14—16 letniej, sama zaś jej praca nie ma trwać dłużej nad godzin 10 z 1½-godzinną przerwą (z wyjątkiem pewnych zawodów). Wreszcie dla kobiet i dziewcząt powyżej lat 16 postanowiono uznać „za godne życzenia," aby nie pracowały nocą i w niedziele, aby zajęcie nie trwało dłużej nad 11 godzin dziennie z 1½ godzinną przerwą, wreszcie aby kobietom nie wolno było pracować przez 4 tygodnie po rozwiązaniu. Obradujące jednocześnie i w związku z powyższą konferencyą zebranie górnicze ograniczyło się także do wypowiedzenia kilku życzeń, lecz natury jeszcze skromniejszej w porównaniu z tonem dekretów. A więc „pożądanem" byłoby, aby kobietom oraz malcom niżej lat 14 (12 dla krajów południowych) nie wolno było pracować w kopalniach pod ziemią; aby w tych razach, gdzie technika nie usunie niezdrowotnego otoczenia, skrócony był czas pracy, przyczem pozostawiono do woli oddzielnym krajom, jak to ma być osiągnięte; wreszcie aby rozciągnięto dozór nad bezpieczeństwem górników i urządzono opiekę na wypadek nieszczęścia, choroby i kalectwa.

Między innemi obradowano też nad środkami powstrzymania bezroboci górniczych i uchwalono życzenie, aby istniały sądy rozjemcze pomiędzy pracodawcami a robotnikami.

Oto i wszystko. Niektóre „życzenia" nie drastają nawet do zwyczajów teraźniejszości... Naturalnie, jest rzeczą pożądaną, aby i te skromne westchnienia oblekły się w ciało. Atoli nie w tem spoczywa punkt ciężkości danego pytania. Kiedyś wyświetliliśmy już sprężyny, dzięki którym powołano do życia dekrety i w ciągu dalszym konferencyę. Wiemy, że był to przedewszystkiem manewr polityczny. A zatem należałoby o „życzeniach" sądzić z tego samego punktu widzenia. Sama społeczna demokracya na ów fortel odpowiedziała innym, podobnym, ofiarując swoje poparcie „dobrym" zamiarom Wilhelma II, lecz jednocześnie dodając, że dekrety stwierdzają jedynie potęgę partyi najmickiej, gdyż bez niej nigdyby się nie ukazały... Jednocześnie wszystkie pisma tego kierunku zaczęły stawiać przypuszczenia tak wygórowane co do „dobrych zamiarów" oraz owoców konferencyi, że na zdobyte życzenia, nawet już wcielone, robotnik inteligentniejszy wzruszy ramionami. Wobec tego dzisiaj, gdy czyn jest dokonany, można uważać dekrety za krok wysoce niepolityczny. Uprawniły one roszczenia, rozbudziły nadzieje, a dały — kilka skromnych życzeń! Tymczasem widnokrąg zachmurza się i wymaga głębszego wejrzenia i doniośléjszej reformy. Dość śledzić doniesienia gazet, aby dostrzedz, że ruch najmicki wzrasta gwałtownie. Dowodzi tego statystyka bezroboci. Anglia w 1888 r. miała ich 509; Stany Zjednoczone w okresie 1881—1884 przeciętnie co rok 461, w 1885 r. zaś 645 i w 1886 aż 1,411; we Francyi przeciętna cyfra roczna, która w latach 1874—1880 wynosiła 40, wzrosła między 1882—1885 do 131. Setki tysięcy aż do miliona osób uczestniczą rocznie w tych nieporządkach. Zmianę stanu rzeczy najlepiej uwidocznia obecna taktyka angielskich „trades-unionów". Wprawdzie ci członkowie, którzy na zjeździe paryskim przyjęli uchwałę co do 1 maja, przegrali sprawę na angielskiem zebraniu ogólnozwiązkowem w Dundee, 87 głosami przeciw 34 odrzucono uczestnictwo w 1 maja, w zasadzie jednak zgodzono się na dzień 8-godzinny pracy, lecz uchwalono żądać go jedynie dla górników. Atoli inne postanowienia zjazdu świadczą, że „trades-uniony" zaczynają porzucać dotychczasową oportunistyczną po-

---

jak grób, z powagą wielkiego stanowiska na swej dziecinnej, żółtej, przedwcześnie wywiędłej twarzy satyra.

Browicz miał już siadać, zawołał, aby mu podano rękawiczki, paltot i kapelusz, gdy ukazał się służący z listem na srebrnej tacy.

Browicz machinalnie wyciągnął rękę, nie zwrócił nawet uwagi na podpis. Listów odbierał mnóstwo, był to wynik jego stanowiska. Zapraszano go na obiady, wieczory, majówki, wzywano na sesye, zapytywano o radę, nie licząc całej rzeszy błagającej o protekcyę lub wprost o pracę. Otrzymany list nie wyglądał wcale estetycznie, nie miał na kopercie ani gołąbka, ani kwiatka, ani nawet monogramu, koperta z cienkiego papieru obcięta była gładko i nosiła na wierzchu wydrukowane nazwisko jakiejś podejrzanej firmy. Zapewne przeznaczona była do biura. Otworzył ją niedbale, ale zaledwie rzucił nań okiem, brwi jego się zbiegły, czoło pobladło, wydatną czyniąc łączącą je linię.

Przez chwilę stał w miejscu, gniewnym ruchem szarpiąc rękawiczki, potem skinął na grooma, który podprowadził konie. Siadł na swojem miejscu, chwycił za lejce i uderzył biczem niecierpliwe angliki, które ruszyły się jak wściekłe, tak, iż groom zaledwie zdołał wskoczyć na swoje siedzenie.

A dalej bił je, ile razy zwalniały biegu, jakby pilno mu było do jakiegoś celu.

Groom przetarł oczy zdziwione. Od czasu jak siadał na tylne siedzenie amerykana z założonemi rękami na liberyjną kamizelkę, nie pamiętał, by pan jego kierował się w inną stronę, niż w elegancką, wschodnią dzielnicę, ciągnącą się około alei Ujazdowskiej. Teraz kare rumaki, gnane gniewną ręką, pędziły ku placowi Teatralnemu, a Browicz zamiast obdzielać wdzięcznymi ukłonami przechodniów, nie raczył nawet na nich spojrzeć i jechał nakształt olimpijskiego Jowisza; chmura oblekła mu gromowładne oblicze, przedmioty zdawały się znikać z przed oczu, utkwionych tylko wprost przed siebie. Nie zatrzymał się na placu Teatralnym, pędził dalej na ulicę Elektoralną, potem na Chłodną w jakieś kąty, do których nie zaglądają nigdy spacerujący. Amerykan podskakiwał na nierównym bruku, pączek *Maréchal Niel* o mało się nie wysunął z dziurki od guzika. Kare rumaki były całe w pianach, a Browicz jeszcze siekł je biczem nieustannie.

Gdy dojeżdżał do rogatek Wolskich, minął je, nie zatrzymując się wcale, wpadł pomiędzy niskie dworki, ciągnące się szeregiem przy drodze i tu dopiero osadził konie. Uczynił to jednak gwałtownym ruchem, niepodobnym do tego, jakim wstrzymywał je w ulicach parku, kiedy spotkał szczególnie miłe osoby i rzucając lejce groomowi, zeskakiwał z amerykana, by się z niemi przechadzać.

Tym razem szarpnął wędzidła, aż krwawa piana ukazała się w pyskach koni. Przez czas jakiś jechał wolno, przyglądając się numerom, niewyraźnie wypisanym na drzwiach dworków. Z warg jego wypadały jakieś ostre, gwałtowne słowa, czy przekleństwa, ale choć groom zaciekawiony, starał się pochwycić ich wątek, nie zdołał tego uczynić.

— Franek! — zawołał nagle.

Franek zeskoczył i znalazł się odrazu przy panu, wyciągając machinalnie ręce po lejce.

— Franek! — powtórzył znowu, jakby chciał wydać rozkaz.

— Słucham — odparł żółty chłopak.

Pan nie dał mu żadnej odpowiedzi; przez chwilę lejce osuwały się z rąk jego, wreszcie oddał mu je już spokojnie, wysiadł, zagłębił się pomiędzy ubogie domostwa przedmieścia, rozpatrywał się wśród nich uważnie. Zatrzymał się wreszcie nagle przed jednym z nich. Snać było to miejsce, którego szukał. Więcej, niż niewyraźny numer, upewniła go o tem twarz jakaś, którą ujrzał po za jednem z okien.

(D. c. n.).

W. Marrené.

litykę czynienia zabiegów o „harmonię“ z kapitałem, w której z ogólno-klasowych dążeń czyni się ofiarę interesom grup pojedynczych i zrywają z chłopomańskiem życzeniem, aby każdy anglik posiadał jedną krowę i akr gruntu. Uwidocznia się to między innemi w uchwale, aby wystąpiono jako samodzielna klasowa partya polityczna, odrębnie od radykalizmu drobnomieszczańskiego; co więcej zjazd spodziewa się zwycięztwa przy przyszłych wyborach blizko w 60 okręgach. Rzecz także charakterystyczna, że postanowiono połączyć się z partyami ludowemi dla urządzenia międzynarodowych rad i kas bezrobotnych. Wywołane przez zjazd w Dundee zebranie przedstawicieli stutysięcznej federacyi górniczej, przyjęło natomiast uchwałę dnia 8-godzinnego. Ruch ten udzielił się i lądowi stałemu. W lutym odbył się w Belgii podobny zjazd górników, na którym postanowiono wytworzyć ogólno-belgijską federacyę górniczą, ustanowić urząd dla zbierania statystyki zarobków, rozmiarów dnia roboczego i dywidend, które dostają się przedsiębiorcom, oraz dla regulowania bezroboci, powołać do życia kasę związkową i przyjąć udział w ruchu 8-godzinnym. Te zjazdy oraz bezrobocia górnicze były przyczyną konferencyi górniczej berlińskiej. Jak wiemy, dała ona dotychczas kilka skromnych życzeń, a tymczasem jako odpowiedź na nią uchwalono za kilka tygodni zjazd w Brukseli górników z Anglii, Francyi, Belgii i Niemiec; podobno Bebel ma być prezydującym.

Przytoczyliśmy te fakty, gdyż właśnie w ich świetle można pojąć rezultaty berlińskie. Zbyteczna dowodzić, że jedynie rozgorączkować mogły jeszcze bardziej umysły i upewnić je, że im więcej będą żądały, więcej dostaną. Dekrety cesarskie mówią wprost: macie słuszność, konferencya zaś dla przyznania słuszności wyraziła zbyt drobne życzenia. Wprawdzie na pomoc przeciw podniesieniu wśród robotników przychodzą inne związki — przedsiębiorców. Zjazd górników angielskich wywołał odpowiednią federacyę wśród właścicieli, która powołała już do życia wspólną kasę przeciw robotnikom, postanowiła przeciwdziałać agitacyi 8-godzinnej i żądaniom podwyższenia zarobków. Podobny syndykat i z podobnych przyczyn narodził się w Niemczech — w celu wzajemnego ubezpieczenia się przeciw szkodom, jakie zrządzono w przyszłych bezrobociach. Wyznaczono fundusz 1,200,000 marek, wnoszonych przez oddzielne przedsiębiorstwa w stosunku do rozmiarów produkcyi. Lecz są to środki bojowe, niezdolne do złagodzenia skutków agitacyi, uprawnionej niejako dekretami. Większe znaczenie posiadałyby bezwarunkowo inne fakty, na które być może młody monarcha niemiecki głównie liczył, wydając dekrety. W ostatnich telegramach czytamy mianowicie: „Zgromadzenie delegatów robotniczych w Bildstock, które uchwaliło nie wysyłać delegatów swoich na kongres berliński z powodu skrajnych jego tendencyj, uważane jest za pierwsze zwycięztwo polityki socyalnej cesarza. Mówcy powoływali się otwarcie na dekrety z dnia 4 lutego i na prace konferencyi berlińskiej, wyrażając przekonanie, że wobec zajęcia się ich losem przez rządy nie wypada dopuszczać się czynów, nielicujących z porządkiem.“ Nic ulega wątpliwości, że gdyby dekrety wywołały taki skutek wśród całej warstwy robotniczej niemieckiej, polityczno-klasowa partya najmicka przestałaby istnieć i zamieniłaby się na grupy zawodowe, walczące w obrębie jednego dnia lub raczej jednego pokolenia o polepszenie czysto ekonomiczne. Społecznej demokracyi pozostałoby jedynie wyrzekać na oportunizm robotniczy i sarkać przeciw poglądom w rodzaju: „kto dał, to dał, byleby dał!“ Lecz czyż można spodziewać się tak szczęśliwego dla władz niemieckich wyjścia? Czyż można mniemać, że postępek bildstocki znajdzie licznych naśladowców? Jesteśmy w tym względzie raczej pesymistami. Wspomniana partya zapuściła zbyt silne korzenie i sami najmici zanadto posunęli się w świadomości klasowo-robotniczej; zbyt jasne są fakty, że sama konferencya była następstwem potęgi politycznej owego żywiołu, zbyt wreszcie mało rosy padło na zbyt wielką posuchę. Pójdziemy nawet dalej, bo mniemamy, że dekrety staną się jedynie nową podnietą i nawet gdyby faktów takich, jak przytoczony, znalazło się więcej, trudno nam byłoby nie obstawać jeszcze przy swojem zdaniu. Wobec dowodów, które posiadamy pod ręką, musimy wyznać, że Wilhelm II nie obliczył wszystkich następstw swego kroku, a raczej uwiódł samego siebie mniemaniem, że jakiemś drobnem ustępstwem rozgromi $1\frac{1}{2}$-milionową partyę polityczną, która teraz nie omieszka wyzyskać położenia i iść w kierunku uchwalonym na zjazdach w Hadze i Paryżu wraz z towarzyszami z innych krajów. Jak lawina własnym ciężarem pada z góry i rośnie, podobnie pod naciskiem wytworzonego położenia cesarz niemiecki winien wydać nowe dekrety i zwołać nową konferencyę, co więcej, zająć się urzeczywistnieniem życzeń. Zresztą, być może, wybierze drogę mniej pokojową...

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

POŁOŻENIE FILOZOFII U NAS.

II.

Filozofia dla swego rozwoju potrzebuje pewnej sumy wiedzy, która nastręczając umysłowi zagadnienia czysto rozumowe, skierowywałaby go bezwiednie ku sferom oderwanego myślenia; potrzebuje myśli, swobodnej od przesądów i uprzedzeń, owego stanu duszy, uzdolniającego ją do przyjęcia wszelkiej prawdy, chociażby ta burzyła wszystkie dotychczasowe jej zapatrywania i zmuszała do wewnętrznego przeobrażenia się, do nowego uporządkowania swych przekonań i uczuć. Tych koniecznych dla siebie warunków filozofia nie znajduje w naszem społeczeństwie, które dotąd zostaje pod silnym wpływem wierzeń tradycyjnych, które pojęcia i zapatrywania dotąd nie pozbyły się zabarwienia romantycznego. Na samodzielne myślenie nas nie stać. W ocenianiu rzeczy nie umiemy wznieść się ponad stanowisko subjektywne, a co gorsza, nie mamy odwagi być sobą i dla względów czysto światowych nie cofamy się nawet przed obłudą. Zresztą tak umysł nasz zesztywniał, że powtarzamy z całą bezmyślnością utarte pomyłki, frazesy, nie zadając sobie pracy zbadania, czy zawierają one w sobie jakieś pojęcie, któreby odpowiadało rzeczywistym stosunkom. Dlatego też dają się u nas słyszeć zdania o filozofii, z jakiemi gdzieindziej już się nie spotykacie — zdania albo wręcz fałszywe i przewrotne, albo nacechowane taką naiwnością, jaka w dzisiejszych czasach żadnemu człowiekowi wykształconemu już nie przystoi.

Najbardziej rozpowszechnionem jest mniemanie, że filozofia dla naszego narodu zbyteczna, a nawet szkodliwa, gdyż podkopuje wiarę i osłabia te prawdy, na których życie narodowe opiera się; że nasi ojcowie bez niej obchodzili się i my bez niej obejść się możemy.

Przekonywać o potrzebie filozofii tych, którzy tej potrzeby nie czują i odczuć jej nie są zdolni, byłoby to samo, co dowodzić temu, kto jest obojętnym na wdzięki przyrody i nie lubi nadmiernego ruchu, że do największych rozkoszy w życiu należą wycieczki w Tatry, że wrażenia, jakich się do znaje na ich szczytach, wynagradzają stokrotnie trudy i niewygody. Nie godzi się atoli przemilczeć zarzutu, że nasi ojcowie obchodzili się bez filozofii. Przeciwko niemu świadczy wymownie historya literatury narodowej, która nas uczy, że każdy kierunek filozoficzny znajdował w naszej przeszłości słabszy lub silniejszy odgłos. Dość tu przytoczyć scholastyków krakowskich, używających w swoim czasie sławy europejskiej, S. Patrycego, tłomacza Arystotelesa, Śniadeckiego i Dowgirda, przedstawicieli filozofii szkockiej, a nareszcie Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego, Gołuchowskiego, wyznawców spekulacyi niemieckiej.

Mniej powszechnem, lecz za to bardziej postępowem jest zapatrywanie, które przyznaje pewne korzyści ze studyowania filozofii, ale wymaga, by do niej przystępowano wtedy dopiero, kiedy się już ma przekonania ustalone, których nic zachwiać nie może, filozofia bowiem ma być jak trucizna, która w pewnych wypadkach może stać się środkiem zbawiennym, ale zażyta niewłaściwie sprowadza jeżeli nie śmierć, to w każdym razie ciężką chorobę. Nie brak w końcu i takich, co z powagą mędrców utrzymują, że każdy może i powinien wyrobić sobie na własny swój użytek filozofię, jaka najbardziej odpowiada jego usposobieniom, nie potrzebując jej uczyć się i szukać gdzieindziej, niż we własnym rozumie.

Wszystkie te zdania i poglądy, o ile nie są bezmyślnem echem złośliwych potwarzy, mają swe źródło głównie w braku zastanowienia się nad naturą ludzkiego rozumu i nad jego wymaganiami, w braku dokładniejszego obeznania się z tem, czem jest filozofia, jakie obecne jej stanowisko i do jakich zadań ona zmierza.

Naturę rozumu ludzkiego stanowi poznanie, badanie rzeczywistości, jak ona się mu przedstawia w zjawiskach fizycznych i duchowych. Najpierwszą jego potrzebą jest zdanie sobie sprawy z tego, co się dzieje u nas i po za nami, wytłomaczenie zagadnień, jakie mu nastręcza obserwacya wewnętrzna i zewnętrzna; drugą — wytworzenie jednolitego poglądu na świat i życie przez usystematyzowanie pojęć i usunięcie zpośród nich możliwych sprzeczności.

Pierwszemu z owych wymagań rozumu czynią zadość szczególne nauki, które zajmując się oddzielnemi grupami zjawisk, starają się poznać ich własności, zbadać przyczynowy ich stosunek i nieskończoną ich mnogość sprowadzić do pewnych uogólnień, stanowiących ich prawa; drugiemu — filozofia, która na tem stanowisku, jakie obecnie zajmuje, nie jest niczem więcej, jak syntezą wiedzy ludzkiej, usystematyzowaniem najwyższych uogólnień pojedynczych nauk na podstawie zagadnień, wspólnych wszystkim gałęziom wiedzy.

Filozofia nie jest już dzisiaj dowolną tkaniną oderwanego myślenia, nietroszczącą się o prawdę faktyczną, nie jest ową spekulacyą, która upatrując jedyne źródło prawdy w czystem myśleniu, w tajemniczych głębiach ducha, zerwała naturalne węzły z rzeczywistością i dyalektycznym ruchem, wzniosła się w sfery tak mgliste, że straciła z oczu świat zjawisk i sama przestała być widzialną. Jest ona obecnie nauką, jak każda inna, mającą właściwy sobie przedmiot i ściśle określoną metodę. Opiera się we wszystkich swych wywodach i wnioskach na faktach doświadczalnych, jakich jej dostarczają poszczególne nauki — i każde jej twierdzenie, będące uogólnieniem danych, jakiemi rozporządza, albo też dedukcyjnem owego uogólnienia zastosowaniem, o tyle jest prawdziwem, o ile prawdziwymi są fakty naukowe. Uznając doświadczenie i oparte na niem rozumowanie za jedyną drogę do prawdy, odróżnia ona skrzętnie to, co jest pewnem, od tego, co jest przypuszczalnem, prawdopodobnem. Hipoteza dla niej nie jest niczem innem, jak domysłem, którego na razie sprowadzić

nie może i służy za wytyczny znak dla przyszłych badań, wskazujący kierunek, w jakim mają być przedsięwzięte. Znamienną jej cechę stanowi przedmiotowość, własność, polegająca na tem, że o prawdziwości swych wywodów upewnia się ona nie samą tylko zgodnością ich z sobą, ale przedewszystkiem z rzeczywistością. Głównym dla niej sprawdzianem jest doświadczenie.

Wobec takiego stanowiska filozofii, czyliż nie dziecinnem jest twierdzenie, że wolno mieć każdemu własną, jak gdyby filozofią można było nazwać mniemanie czysto subjektywne, zapatrywanie, oparte na przywidzeniach i uprzedzeniach?! Niezawodnie, że wolno mieć nietylko własną filozofię, ale nawet logikę i etykę, tylko że wolność tego rodzaju bardzo często prowadzi do szpitala albo do kryminału.

Jeżeli powyższe twierdzenie jest naiwnem, to zgoła niedorzecznem jest to, podług którego do filozofii mogą się zabierać tylko ludzie z ustalonemi przekonaniami. W kim myśli i uczucia skrystalizowały się do takiego stopnia, że w nich już żadna zmiana nastąpić nie może, dla tego filozofia jest wcale niepotrzebną. Głównem zadaniem filozofii jest rozszerzyć zakres myślenia, uporządkować pojęcia i zapatrywania, zaprowadzając między niemi ład i sprowadzając je do jednej jakiejś zasady. Dla zadania tego nie masz miejsca w umyśle ostatecznie sformowanym, w którym pewne skojarzenia wyobrażeń i uczuć nabrały moc nałogu i stały się drugą naturą. Przyrównywać filozofię do trucizny dlatego, że jakiś dudek niedowarzony, nie zrozumiawszy jej, wyciąga z jej założeń wnioski, o jakich się jej ani śniło, jest to samo, co nazwać trucizną pokarmy dlatego, że szkodzą temu, kto cierpi na katar żołądka. Filozofia wymaga przedewszystkiem zdrowej myśli i pewnego zasobu wiedzy. Kto nie ma ani jednej, ani drugiej, temu jeżeli i nie zaszkodzi, to w każdym razie na nic się nie przyda.

Władysław Kozłowski.

PRAWO DO WOJNY.

I.

Każda umiejętność ma swoją łamigłówkę, która nigdy z jej porządku dziennego nie schodzi, bo nigdy w zadawalający sposób rozwiązaną być nie może. Łamigłówką taką jest: „prawo do wojny.“ Od wieków każda strona wojująca twierdziła, że je posiada i że go broni. Nic dziwnego, że uczeni starali się oddawna określić to „prawo.“ Można wątpić, ażali usiłowania te uwieńczone będą pożądanym skutkiem: zważywszy jednak wzniosły ich cel — trudno je potępić. Tem więcej zasługuje na uwagę wszelki pogląd oryginalny i nowy na tę sprawę. Znajdujemy go w dziele Henryka Rettticha *), który dowodzi, że bezowocność dotychczasowych usiłowań ścisłego określenia „prawa do wojny“ pochodzi stąd, iż prawnicy międzynarodowi nie wiedzieli, co to jest wojna i że o istocie jej mieli najfałszywsze wyobrażenie. Zacząwszy od Grotiusa a skończywszy na profesorze heidelberskim Bulmeringu, uważali zawsze wojnę za rodzaj procesu prawnego, prowadzonego orężem zamiast dowodami. Tymczasem jest ona raczej rodzajem ruchu przemysłowego (ein Act des Verkehrs). Jak każdy ruch podobny wynika ona z potrzeb ludzkich i pragnie je zaspokoić. Ze względu na te cechy można ją określić jako: „gwałtowne współobieganie się o przedmiot sporny, którego w inny sposób osiągnąć nie można.“ Dodać jeszcze należy, że współubieganie to odbywa się zawsze między ustrojami społecznymi. W łonie zaś takich ustrojów wojna, jako najostrzejsze zaprzeczenie wszelkich wspólnych interesów, ustąpić musi porządkowi prawnemu i pokojowemu, który nazywamy „państwem prawnem“ (Rechtsstaat). Tę najdoskonalszą jego formę poprzedziła faza rozwoju, w której wykluczenie przemysłu wojennego w granicach państwa nie było istotnym i koniecznym warunkiem jego ustroju, tak, że wojna między obywatelami była niekiedy możliwą. Tej fazie autor poświęca ciekawy rozdział, w którym przedstawia szczegółowo jej przebieg w Niemczech. „Istniało tam oddawna prawo egzekucyi prywatnej, zwane *jus faidam partandi*, a służyło każdemu wolnemu człowiekowi (ingenuus) do pomszczenia krwawej krzywdy.“ W tej zemście autor widzi początek wojen prywatnych, które publicysta niemiecki Zoepfel charakteryzuje temi słowy: „Każdy starał się gwałtem i przemocą zagarnąć ile mógł... Kto tylko raz posiadał zamek i trochę żołdactwa, temu żadna władza państwowa nie mogła zabronić, jeżeli nie miał innego zarobku, aby żył z łupu i z dochodów zagarniętej ziemi.“ Wprawdzie skuteczne wykonywanie tych rabunków wymagało nietylko twierdzy i licznych żołdaków, ale także jakiegoś porządku między panem a nimi. Ci więc, osiadając około zamku, poddali się tem samem głównym warunkom ustroju państwowego, tworząc stałe siedlisko i lud pod panem, przez co utworzyło się w Niemczech mnóstwo miniaturowych państewek. Między sobą zaś panowie ci prowadzili „przemysł wojenny.“ Z tej samej jednak przyczyny, z której oni w swoich miniaturowych państewkach utrzymywali pokój i prawo, starali się o to również i cesarze. Zwoływali oni w tym celu zebrania, na których zaprzysięgano pokój. Zawsze zaś był to przedewszystkiem ich interes osobisty. „Nawet ów sławny „pokój wieczny“ Maksymiliana I nie jest bynajmniej dowodem cesarskiej troski o dobro publiczne, lecz o interes dynastyi. Wszystkie wszakże te ustawy aż do ogłoszenia „wiecznego pokoju powszechnego“ (1495) nie potępiły bynajmniej raz na zawsze wojen prywatnych. Dopiero ów „wieczny pokój“ wyrugował formalnie z prawa publicznego Niemiec wszelki gwałt prywatny. Ostatni tego rodzaju zakaz zawiera się w pokoju westfalskim. Zresztą nie trzeba mniemać, że stare wojny prywatne różniły się swą formą od nowożytnych; i tamte bowiem miały tak samo, jak dzisiejsze, swoje prawo, tj. pewne reguły.“

W nowożytnych walkach przemysłowców o zarobek rozstrzyga zawsze przewaga kapitału; wtedy zaś dawała zwycięztwo większa ilość żołdactwa. Między „faidą“ średniowieczną a dzisiejszą *spekulacyą* niema różnicy ze stanowiska prawnego, zachodzi tylko różnica stosunków ekonomicznych. Dzisiaj nagrodą zwycięztwa jest nowy kapitał, podczas kiedy wówczas była nią ziemia wraz z jej osadnikami.

Reakcya przeciwko tej dla ogółu szkodliwej wojnie „ogniem i mieczem“ wyszła najprzód od duchowieństwa, pragnącego ubezpieczyć swe dobra i interesy od przemocy. Środkami walki były dlań kary kościelne, klątwy, odmówienie pogrzebu i ślubów. Wszystko to nie pomogło; wojny prywatne nie dały się wytępić. Gwałt zdobył sobie prawo i korzystał z niego znowu przez długie lata. Wtedy duchowieństwo francuskie chwyciło się nowego środka. Niechby sobie już rycerze prowadzili dalej rzemiosło wojenne, aby tylko duchowieństwo i lud przez pewien przeciąg czasu zabezpieczeni byli. Ogłoszono „Treuga dei“ (pokój święty), mocą którego od wieczora, co czwartek, aż do rana, co wtorek między wszystkimi chrześcianami, przyjaciółmi i wrogami, sąsiadami i obcymi ma panować nienaruszony pokój. W istocie była to tylko ugoda między przemysłowcami pokoju i wojny, dziwne dzieło dziwnych ludzi i dziwnych stosunków. Przykład Francyi znalazł naśladowców w Niemczech, w osobie biskupa kolońskiego. Nowa ustawa nie była zbyt ostrą. Pozwolono bez naruszenia jej smagać nieposłuszną służbę i poddanych, nakazana również przez króla wojna nie zrywała pokoju świętego. Zdaje się jednak, że ten pokój koloński nie miał wielkiego powodzenia, albowiem na synodzie w Clermont (1095) papież Urban II używa projektowanej wyprawy krzyżowej jako gromochronu od wojen prywatnych. „Teraz bowiem—powiada — obrońcą Boga, będzie ten, co dotąd był rozbójnikiem. Kto dotąd służył za pieniądz nikczemny, niechaj teraz zdobywa nagrodę wiecznego zbawienia... Wy, którzy gnębicie sieroty i plądrujecie wdowy, którzy mordujecie chrześcian i bezcześcicie kościoły, depczecie boskie i ludzkie prawo, zaprzestańcie bratobójczych wojen i zamiast współwyznawców, zwalczajcie obce ludy, wyprawiając się jako Chrystusa święta, niezwyciężona armia przed Jerozolimą.“ Ale ani wyprawy krzyżowe, ani ponawiane wciąż ogłoszenia pokoju świętego, nie mogły położyć końca wojnom prywatnym. „Treuga“ nie była wstanie usunąć jednym zamachem przemysłu wojennego, który stał się był realną potrzebą licznej warstwy ludności, bo zaspokajał zarazem jej żądzę panowania i potrzeby życia, przemysłu, który przeszedł był w krew i sok życia publicznego.

Co więcej, kiedy od XI wieku szlachta zajmować zaczęła wysokie posady duchowne, stolice biskupie i opactwa, całe wyższe duchowieństwo ożywione było tym samym duchem wojowniczym, którym tchnęło świeckie jego rodzeństwo i zaczęło współzawodniczyć z niem w przemyśle wojennym. Pozostały tedy tylko jako jedyne zawody pokojowe — chłopstwo i mieszczaństwo. Ponieważ zaś chłopstwo było poddanem i pozbawionem wszelkich praw, mieszczaństwo podjęło walkę z gwalcicielami pokoju. Cesarze sprzyjali mu i wspierali usiłowania miast nadaniami i przywilejami. Sądzili bowiem, że wzrost handlu i rzemiosł stworzy zarazem powiększenie się podatków i dochodów cłowych. Tym sposobem w luźnej organizacyi cesarstwa powstały miejskie rzeczypospolite, wśród których tylko przemysł pokojowy był dozwolony i możliwy i które sprzymierzyły się. Te związki pokojowe były największem ograniczeniem rozboju rycerskiego i przeszkodą wzrostu możnych panów terytoryalnych.

Wpływ tych ostatnich spowodował, jak się zdaje, cesarzy i królów do zakazywania związków miejskich. Ale te zakazy zostały również bezskuteczne. Przemysłowcy wojenni zatem musieli chwycić się realniejszych środków i wzorem miast zawierać sojusze dla zabezpieczenia przemysłu wojennego. Tak powstały związki św. Jerzego, św. Wilhelma, Lwa, Pantery itd.

Ale konkurencya przemysłowa prowadzona brutalną siłą, mieściła w sobie własnem wnętrzu zaród zniszczenia. Kiedy bowiem silniejszy poskramia słabszego, a sam zasila się zasobami zwyciężonego, nietylko liczba wojujących wciąż maleje, ale wszelka walka w końcu ustaje w chwili zwycięztwa jednego najsilniejszego. Prawo naturalne tym sposobem prowadzi samo przez gwałty i rozboje do jedności i do pokoju. A zważając na ten konieczny rezultat, nawet brutalna siła mniej staje się odrażającą i nabiera pewnego znaczenia etycznego—jest ona bowiem najdawniejszym i najskuteczniejszym środkiem, prowadzącym do jedności i do pokoju. Nietylko zaś to prawo naturalne, ale inne także zmiany kultury i obyczajów, które z biegiem czasu nastąpiły, współdziałały w kierunku pokojowym.

(D. n.)

Meg.

*) Heinrich Rettich: *Das Recht zum Kriege.* Zur Theorie und Geschichte des Rechtes zum Kriege. Völkerrechtliche Untersuchungen. Stuttgard, 1888.

ROZWÓJ ETNOLOGII NOWOŻYTNEJ.

Praca badacza niemieckiego, Tomasza Achelisa p. t. *Die Entwickelung der modernen Ethnologie* jest książką, która pomimo jednostronności autora dla wielu będzie pożądanem źródłem informacyi. Autor zajmuje stanowisko Adolfa Bastiana i uznając w etnologii jedynie racyę metody psychologiczno-filozoficznej, z namiętnością niemal występuje przeciw nauce materyalistycznej, która procesy umysłowe utożsamia z pewnemi zmianami materyi. I pod innym jeszcze względem zarzucić można Achelisowi jednostronność: uwzględnia on głównie prace niemców, wyliczając z autorów francuskich i angielskich zaledwie kilku najwybitniejszych. Bądź co bądź, w dziele jego występuje jasno rozwój tej umiejętności, a niemała to zasługa wobec rozmaitości kierunku nadanego jej przez różnych badaczów. Achelis upatruje początki etnologii w czasie, który nastąpił po wielkich odkryciach geograficznych. O. Lafitau i Jerzy Forster, którego opis wysp oceanu Spokojnego obudził w Humboldcie zamiłowanie do tej nauki, traktują etnologię w sposób etnograficzny, podczas gdy Voltaire, Rousseau, Herder, Schiller i Klemm pierwsi zajmują się kwestyami etnologicznemi ze stanowiska filozoficznego i kulturalnego. W drugim rozdziale, który bada dzieje etnologii jako umiejętności socyologicznej, zaznacza autor, czego na tem polu dokonał August Comte, wprowadzając metodę porównawczą i Quetelet, żądający badania typów i wielkich grup. Quetelet pierwszy baczniejszą też zwrócił uwagę na zmiany, jakim ulega społeczność ludzka pod wpływem odmiennych warunków klimatycznych i geologicznych. Obszernie streszcza Achelis prace Schäffle-go, którego mieni twórcą realistycznej psychologii i psychofizyki społecznej, zwracając zwłaszcza uwagę na jego *Güter der Darstellung und Mitheilung*.

Etnologia, jako umiejętność wyspecyalizowana, rozpoczyna się z dziełem Pricharda *Naturgeschichte des Menschengeschlechts*, które w czwartem i piątem dziesięcioleciu naszego stulecia tak wielkiego zażywało poważania. Badania Pricharda nad monogenizmem i poligenizmem i wywody jego o psychicznej jedności rodu ludzkiego miały dla etnologii znaczenie przełomowe. Dalej przedstawia autor rezultaty prac Bastiana, założyciela berlińskiego Muzeum etnologicznego, który rozwija psychologię przyrodniczą, tj. badającą dzieje rozwoju ducha ludzkiego na podstawie etnologicznej. *Anthropologie der Naturvölker* Waitza uwzględnia Achelis nie mniej sumiennie, aniżeli *Völkerkunde* Peschla i zasługi jego następcy Kirchhofa. Podobnej popularności, jak Peschel, nie osiągnął żaden z etnologów, acz kolwiek niejeden dorównywał mu ogromem wiedzy i bystrością badań. Szersza publiczność nie zna np. prac Fryderyka Müllera, który wielkie położył zasługi na polu klasyfikacyi ras. Oceniwszy jeszcze dzieła Lubbocka i Tylora, kończy Achelis dzieje etnologii przeglądem badań Posta nad stosunkami prawnemi różnych ludów, oraz prac F. Ratzela. Żałować należy, że nie uwzględnił jeszcze prac Lipperta, któremu etnologia zawdzięcza badania nad powstaniem religij i idei kulturalnych.

L.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Hora F. A., *Polsko-czeski słownik kieszonkowy*. Praga, 1889—90.

Doczekaliśmy się nareszcie słownika polsko-czeskiego, co ze względu na stosunki literackie z pobratymcami za rzecz niezbędną uważamy.

Przed niewielu bowiem laty pozbawieni byliśmy wszelkich środków, któreby się w czemkolwiek przyczynić mogły do poznania języka, literatury i dziejów czeskich. Dziś postać rzeczy się zmieniła. Mamy już trzy podręczniki do nauki języka (Tomka w tłomaczeniu Krzywickiego, Szasteckiego i Byczkowskiego), a obecnie p. Hora z Pilzna obdarzył nas słownikiem polsko-czeskim. Autor, będąc czechem, łamać się musiał z nieprzezwyciężonemi trudnościami. Głoszą nawet wieści, że przygotowywa do druku drugi słownik czesko-polski. Pragnęlibyśmy szczerze, aby wieść niebawem się spełniła.

Praca p. H., dedykowana p. Janowi Karłowiczowi, przedstawia format szesnastki, złożony z 99 arkuszy druku. Autor posiłkował się słownikami języka polskiego Lindego i Rykaczewskiego, tudzież polsko-niemieckim Łukaszewskiego, czesko-niemieckim Kotta i słownikiem dla lekarzy Chodounskiego. Słowozbiór zawiera wyrazy najbardziej potrzebne, a często mniej znane. Okrom tego są tam niektóre zwroty i polonizmy. Mając na uwadze treściwość książki, autor unikać musiał wiele rzeczowników czasownikowych, jak np. *dokonanie* (od dokonać), *kierowanie* (od kierować) itp., tudzież wyrazów złożonych z partykułą przeczącą: *nie*, np. *nie-długi*, *nie-proszony* itd.; nakoniec czasowników, jak *nasuszyć*, *nawywozić*, *ogolić*, *odegrać* i t. d. Dodatek zawiera spis nazw geograficznych i imion chrzestnych. Co do pierwszych, to zwrócimy uwagę autora, że zamiast *Auszpurg* i *Bryn*, używa się w języku polskim *Augsburg* i *Berno* lub z czeska *Brno*. Obok *Budyszyn*, *Bulgarczyk* i *Madiar*, należałoby umieścić i inne formy tych wyrazów, jak: *Budziszyn*, *Bułgar* i *Bulgar*, tudzież *Madziar*. Wyraz *Has*, *haski*, nieznany w języku polskim, używa się natomiast *Hessya* lub *Hesy*, *heski*. Z imion chrzestnych zam. *Brykcy*, *Eustachi* powinno być: *Brykcyusz*, *Eustachy*. Brak jest nazw czeskich na niektóre znane miejscowości, jak: *Eger* (Cheb), *Elbogen* (Lokek'), *Karlsbad*, *Marienbad* itp. Nie pisze się także: *Adiga*, *Bitom*, *Notecz*, lecz *Adyga*, *Bytom*, *Noteć*.

Wytknąwszy te drobne nader usterki, spodziewamy się, że publiczność nasza zechce korzystać ze słownika, nagradzając tem dobre chęci i wytrwałość autora.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

5 kwietnia.

Ze scen wiedeńskich. — Burgtheater i Wolterowa. — Volkstheater i Ganghofera „Hochzelt von Valeni.“ — Opera i inne teatry. — Koncert Biblioteki polskiej i panna Abendrotówna.

Minął sezon jesienny i zimowy, w którym sceny tutejsze wystawiać zwykły najcenniejsze sztuki, jakie spryt dyrektorów lub traf szczęśliwy im nasunął. Mimo iż Wiedeń od zeszłej jesieni posiada o jedną scenę więcej, aniżeli w latach poprzednich, plon dramatyczny jest nader niepokaźnym. Osierociały Burgtheater kontentuje się wystawianiem niegranych jeszcze sztuk autorów zmarłych a słynnych. Po Hebblu przypomniano sobie Ottona Ludwiga, dając w „Machabejczykach“ Wolterowej sposobność do stworzenia nowej, potężnej roli, o której wielu znawców twierdzi, że jest najcelniejszą rolą tej artystki. Dała ona nowy, zdumiewający dowód niezależności talentu aktorskiego od inteligencyi; o ile bowiem pierwszym rozporządza, o tyle, jak wiadomo, brak jej drugiej. Zresztą wystawiono w Burgtheatrze parę komedyj modnych dziś autorów niemieckich, o których trudno powiedzieć, który z nich mniej jest godnym przestąpienia progu pierwszego instytutu dramatycznego.

Uczciwiej, lecz z niemniejszą nieudolnością i z niewiększem szczęściem brał się do rzeczy Volkstheater pod dyrekcyą Emeryka Bukovicza. Wystawił on cały szereg komedyj i dramatów poronionych i umierających natychmiast po sztucznem ożywieniu ich. Volkstheater, którego przeznaczeniem jest krzewić smak zdrowy wśród sfer mieszczańskich i popierać dramatopisarstwo oparte na podstawie narodowej, najbardziej zadowolił publiczność dramatem sensacyjnym, osnutym na tle rumuńskiem. Zapewne obił się już o uszy czytelnikom *Prawdy* tytuł sztuki „Wesele w Waleni,“ którą obecnie grywają sceny niemieckie, a która w Wiedniu chrzest odebrała. Nie można jej odmówić jednej zalety: zapoznaje ona widza ze stosunkami rumuńskimi. Widzimy naprzód dom zrujnowanego bojara, Demetra Fortunata, który pieczęcie sądowe na swych meblach przykrywa dywanami perskimi, kupionymi za pożyczone pieniądze. Syn Fortunata, Jonel, ukończywszy studya w Niemczech, wraca do domu rodzicielskiego, pełen najlepszych dla kraju chęci; lecz stosunki ojca zmuszają zdolnego prawnika do oglądania się za bogatym ożenkiem: Przez chwilę uderza go Santa, młoda, demoniczna cyganka, towarzyszka lat jego chłopięcych, którą bogaty Notara, właściciel sąsiedniej wsi Valeni, wychował w pensyonacie wielkomiejskim. Lecz niebawem otrząsnąwszy się z tego wrażenia, pokochał bogatą dziedziczkę, Pię Bogdańską i z nią się zaręczył. W Sancie tymczasem wspomnienie lat dawnych obudziło żar: pokochała pięknego Jonela namiętnie. Lecz stary Notara gotuje gody weselne, a biedna cyganka, która wszystko mu zawdzięcza, oddaje rękę zgrzybiałemu rozpustnikowi. Po ślubie, podczas zabawy urządzonej z przepychem, Santa oświadcza Jonelowi swą miłość, a odepchnięta przezeń, bierze truciznę z rąk garbatego cynika, prokuratora Czuku, który kocha ją namiętnie. Widząc spaczone przed sobą życie, Santa otruć się zamierza; wtem wpada senny jej małżonek, a widząc na stole kieliszek z szampanem, wychyla go zwyczajem ludzi nieumiarkowanych, nie wiedząc, iż zawierał truciznę. Niebawem prokurator Czuku wyśledził przyczynę śmierci Notary i proponuje Sancie wysłuchanie jego żądań, skoro nie chce być sądzoną jako morderczyni. Santa odtrąca go, lecz przed sądem broni ją Jonel Fortunat, którego wymowa porywa przysięgłych. I już Sancie zwróconą ma być wolność, gdy zbuntowani chłopi wpadają do sali sądowej: Santa ginie od kuli, przeznaczonej Jonelowi. Jest w tej sztuce jeszcze parę efektów, które działać muszą: podczas nocy ślubnej wbiega do pokoju samotnej Santy stary jej ojciec, cygan, grajek i opowiada dzieje jej matki: zginęła ona pod batogami tegoż samego Notary, który Santę właśnie poślubił. Zastanowiwszy się jednak nad myślą sztuki, wyciągnąć z niej można chyba taki morał: nie pij wina, któregoś przedtem nie zbadał chemicznie. Zdumiewającą jest nieudolność autora, tyle zręcznego w gromadzeniu efektów, do powiązania ich niemi dramatycznemi. Gdyby Santa była świadomie otruła mordercę swej matki, sztuka miałaby jakąś akcyę; obecnie polega ona, według słów pewnego krytyka wiedeńskiego, na pomyleniu się w kieliszku i na chybionym strzale.

„Wesele w Valeni“ jest udramatyzowaniem powieści „Jonel Fortunat,“ napisanej przez dziennikarza rumuńsko-żydowskiego, Marka Brocinera, który obecnie jest współpracownikiem *Wiener Tagblattu*, gdzie koleguje z Ludwikiem Ganghoferem, znanym autorem dramatów ludowych. Przeróbka sceniczna pojawiła się pod firmą Ganghofe-

ra, który podobno niewiele nią się zajmował. Jako krytyk teatralny i literat znany w Niemczech, stosunkami swemi zapewnił on jej przyjęcie i powodzenie, a sobie znaczne tantyemy. Przy tej sposobności wypłynęły na wierzch fakty, które fatalne rzuciły światło na niego, jako pisarza i człowieka: okazało się, że między Brocinerem a Ganghoferem zachodzi stosunek podobny, jak niegdyś między Hedrichem a Meisnerem. Tem wstrętniejsze było widowisko bezczelnej reklamy, jaką Ganghofer przy pomocy kolegów dziennikarskich puścił w ruch dla poparcia *swego* nowego utworu, napisanego przez Brocinera.

Prawdziwą zasługę natomiast zaskarbił sobie Volkstheater wystawieniem najlepszych utworów Anzengrubera, które po dziełach Hebbla i Ludwiga są najcenniejszymi w Niemczech dramatami nowoczesnymi.

Opera, idąc za przykładem Burgtheatru, spłacała w tym roku długi kompozytorom zmarłym. Wystawiono „Św. Elżbietę,“ oratoryum Liszta i Berlioza „Beatrycze i Benedykt.“ Pomijamy „Theater an der Wien,“ który wystąpił z dwiema operetkami „Orakel“ Hellmerbergera i „Biedny Jonatan“ Millöckera, Karltheater i Josephstädtertheater, które wystawiły szereg ludowych sztuk wiedeńskich.

Kolonia polska żywo teraz się krząta około koncertów. Dla rolników galicyjskich, dotkniętych głodem, odbyć się ma koncert pod protektoratem kilku pań z arystokracyi wiedeńskiej. Tymczasem urządzono mniejszy, przeznaczający część dochodu dla szkoły polskiej, mającej powstać w Wiedniu. Koncertem tym zajmował się komitet Biblioteki polskiej pod przewodnictwem ks. Czartoryskiego. Prócz państwa Tyberg-Pattinger słyszeliśmy zdolnego wiolonczelistę Duzinkiewicza i śpiewaczkę opery nadwornej, pannę Irenę Abendrot, która niedawno w „Łucyi“ nowy odniosła tryumf. Zebrała najsutsze oklaski, zwłaszcza za pieśni polskie, które śpiewa najpiękniej, sama sobie akompaniując na fortepianie. Skoro repertuar opery nie stanie na zawadzie, panna Abendrot przybędzie do Warszawy, dokąd kilkakrotnie ją wzywano.

Stwosz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Swięto wiosny. — Co my mieszczanie widzimy z jej uroków. — Choroba miasta i zdrowie wsi. — Redakcye na wsiach.—Opłaty strefowe w Węgrzech i u nas.— Gorsząca obojętność. — Koń i lokomotywa. — Wint i cześć dla waleta treflowego. — Bezskuteczna a potrzebna skarga. — Panteon *Gazety rolniczej.* — Dwa w nim posągi. — Pochlebstwo mimowolną satyrą.—Za co Bóg i my mamy wynagrodzić p. L. Górskiego. — Zagadkowe określenie konserwatyzmu względnego i bezwzględnego.

Nie wszystkim zapewne czytelnikom wiadomo, że Wielkanoc jest dawnem świętem wiosny, na którem chrześcianizm zaszczepił swą pamiątkę religijną. Ile razy ono przypada w porze chłodów i słoty, wydaje się nowożytnem; ile razy zaś przejdzie opromienione blaskami słońca, wygląda starożytnie, jak gdyby było echem radości tych czasów, kiedy ludzie czcili z weselem witali odradzającą się naturę. Takiem było owo święto w roku bieżącym, o czem daleko więcej i lepiej mógłby powiedzieć wpatrzony we wszystkie uroki przyrody wieśniak, niż ja, skazany na dożywotnie ciężkie roboty, nieszczęśliwy więzień miasta. Bo i cóż ja widziałem— podczas godów wiosny? Kawałek okurzonego błękitu nieba, dłuższy słupek merkuryuszu w termometrze, lody, fijołki, różnobarwne baloniki i zabawki naśladujące pisk ptaków, sprzedawane na ulicach, wreszcie zadyszanych ludzi, biegających od domu do domu dla wymiany życzeń przy kurzem jajku i nad zwłokami wieprza. Gdyby takie tylko wdzięki odsłaniała zmartwychwstająca ze snu zimowego natura, wątpię bardzo, czy pocci uczciliby ją tyloma pieśniami. Do lodów śmietankowych i baloników czerwonych nie przylatują słowiki, zarówno z Parnasu, jak i z gaju. To też wszyscy my, ludzie najprozaiczniejszego gatunku, zwolennicy wycieczek w dorażkach, gapiostwa ulicznego, tłumnych zebrań w kurzu ogrodów spacerowych i tym podobnej mizeryi, cieszymy się wiosną, bo ona nam pozwala mniej płacić za węgle, zmienia cięższe na lżejsze okrycia; ale czy pieścimy oczy jej widokiem, wdychamy jej upajające wonie, słyszymy jej śpiewy? Czy ona jakikolwiek ślad odciska w naszem życiu, w naszych pismach, które przecie mają być odbiciem „chwili“? Zarówno w listopadzie i styczniu, jak w kwietniu zajmujemy się Bismarkiem, Myszugą, zbiorowiskami ludzi, zgromadzonymi dla wspólnej uciechy, wreszcie zadrukowaną bibułą i jeszcze raz bibułą. Człowiek wtedy tylko duchowo i fizycznie jest zdrów i posiada bogatą wyobraźnię, kiedy przez całe życie pozostaje dzieckiem przy piersi — natury. Oderwany od matki, mizernieje, dostaje skrofułów umysłowych, wpada w czarno-głupią melancholię, która mu obrzydza istnienie i zniedołężnia siły. Pesymizm jest chorobą miasta. Kto corocznie po doszczętnych spustoszeniach zimy widzi odradzające się drzewa, zmartwychwstające trawy, wyrastające z nasion zboża, ten musi wierzyć w przyszłość, w plon wszelkiego siewu. Żadna też klasa ludzi nie jest tak skłonną i zdolną do żywienia nadziei, jak rolnicy. Zobaczcie ich rozmawiających o czemkolwiek z mieszczanami — np. o polityce. Pierwsi ciągle roją, drudzy ich rozczarowywują; tamci dmuchają w iskry, ci gaszą płomień; tamci w marzeniu gotowi są wziąć wodospad za kolumnę, ci — granit za gąbkę; tamci ustawicznie widzą życie wykwitające ze śmierci, a ci śmierć zabijającą życie. Prasa jest poniekąd filozofią codzienną. Otóż byłoby niezmiernie ciekawem, jaką by ta filozofia przybrała barwę, gdyby jej krosna przeniesiono na wieś. Wyobraźcie sobie: redakcya dziennika w Piaskowej Wólce. Odbiera ona pocztą i telegrafem wiadomości z kraju i całego świata, które drukuje i objaśnia. Ale w tem ustroniu zmieniają one dla niej swą wagę. Bo czyż podobna wobec majestatu natury, z myślą spokojnie skupioną i wszechistnienie obejmującą, ogłaszać tysiącom czytelników, że Dumas prawą ręką zwykł drapać się w lewe ucho, a lewą w prawe, że Sarah Bernard wypantoflowała komisarza podatkowego w Wiedniu, że królową rautu u państwa Bzik była pani Psik, że Mierzwiński po raz pierwszy zrobił giest ręką podczas śpiewu, że Wisnowczycy i Czaczanie paradyzu prowadzą walkę Gwelfów z Gibellinami itd.? Wszystko to można pleść w mieście, ale nie śród drzew, zbóż, kwiatów, pod wspaniałem sklepieniem nieba, przed szeroko rozwartą źrenicą słońca. Nawet krowy z obór miejskich bywają wypędzane na wały i smugi trawą obrosłe, ażeby lepsze mleko dawały: doprawdy to samo należałoby czynić z dziennikarzami w redakcyach — lepsze pisywaliby artykuły.

Projekt mój będzie łatwym do wykonania, gdy na kolejach naszych zostaną wprowadzone opłaty biletów strefowe. Jak wiadomo, ojczyzną tego pomysłu są — ku wstydowi wielkich — małe Węgry. Straszono je bankructwem — minister komunikacyi odpowiedział, że na dwuletnie straty jest przygotowany i że potem szybko je odzyska. Tymczasem ruch na drogach żelaznych wzmógł się olbrzymio i dochody wzrosły. Był to wszakże nietylko tryumf jednej głowy i jednego kraju, ale i samej zasady. Inne państwa, bądź ośmielone dobrym przykładem, bądź też przestraszone współzawodnictwem, zaczęły rozmyślać nad wprowadzeniem podobnej reformy. Austrya wkrótce będzie ją miała, Niemcy również uznały jej konieczność. „Już dziś — powiada *Frankf. Zeitung* — można uważać za rzecz pewną, że nasi ministrowie kolejowi, którzy dobrowolnie nie chcieli pójść naprzód, uczynią to z musu.“

A nasze zarządy dróg żelaznych? My również mamy taryfy strefowe, o tyle różne od węgierskich, że tam normą ceny biletów do najdalszych punktów w pewnym obrębie (strefie) jest opłata za przejazd do najbliższego, a u nas odwrotnie. Tak np. kolej Nadwiślańska lub Terespolska w Węgrzech pobierałaby za podróż z Warszawy do Jabłonny lub Miłosny tyle, ile do Płudów i Rembertowa, u nas zaś pobierają do Płudów i Rembertowa tyle, ile do Jabłonny i Miłosny. Chociaż oryginalna ta strefowość, która całemu światu ucywilizowanemu jest nieznaną i prawdopodobnie nigdy znaną mu nie będzie, wytrzymała dotąd szczęśliwie atak węgierski i pozostanie jeszcze na długo jako drogocenna skamieniałość rozwoju środków komunikacyi, sądzę jednak, że prasa powinnaby odwrócić swą uwagę od dywidend i Lyseňow, a skierować ją na interes ogółu, związany z kolejami żelaznemi. Pod względem stosunku do kraju, pod względem wygód i ułatwień podróży, stoją one tak daleko od zagranicznych, jak np. drewniane świdry dzikich dla wydobywania ognia od fabryk zapałek. Jaki procent akcye kolejowe przynosić będą holendrom, niemcom, francuzom, albo wreszcie naszym kapitalistom, to tak zajmuje a często dręczy prasę warszawską, jak gdyby od tych dywidend zależało szczęście narodu. Natomiast, ile za przejazd lub przewóz towarów płacić muszą miliony ludzi — to jej nie obchodzi. Jest to obojętność wprost gorsząca, której żadne bilety wolne, ofiarowane redaktorom i literatom, usprawiedliwić nie mogą.

Takiej dbałości o wysmarowanie tłustych polców i takiego lekceważenia interesów ogółu daremnie szukalibyśmy nawet tam, gdzie gazety są utrzymankami panów kolejowych. Za granicą wskutek nadzwyczajnych ułatwień i obniżenia cen ruchu po drogach żelaznych, ożywia się handel i przemysł, rozwija się i potęguje energia ludności w coraz nowych przedsiębiorstwach; u nas dzięki skostniałej rutynie toczą się wagony po szynach od lat wielu jednako, osobowe — puste, towarowe — wielkimi transportami naładowane, śród okolic martwych, pozostających jeszcze w tym stanie kultury, w którym koń współzawodniczy z lokomotywą, a furman żydowski z dyrektorem kolei. Dawnoż to niedźwiedź z Brześcia do Warszawy przyjechał na wozie, bo jego właściciela drożej kosztowałby wagon? A i dotąd ilu to letnich mieszkańców wędruje codzień po 8 kilometrów do Warszawy, bo kolej nie daje im żadnych ulg, owszem płacić każe za większą odległość! Czy okolice Warszawy takby wyglądały, gdybyśmy mieli udogodnienia komunikacyi od dawna stosowane za granicą? Czy cudzoziemiec, zbliżając się do rogatek naszych, pozna z widoków, że przybywa do wielkiego miasta? Jeżeli odgadnie — to chyba nosem, nie oczami.

Corocznie wyjeżdża z Warszawy kilkadziesiąt tysięcy osób na letnie mieszkania. Czy kto o tych ludziach myśli, ażeby im ułatwić przejazdy, więcej powiem, ażeby z tej wędrówki wyciągnąć korzyść dla samej kolei? Myślą — dyrektorowie o pensyach i gratyfikacyach, akcyonaryusze — o dywidendach, a dziennikі — o dyrektorach i akcyonaryuszach. To się nazywa: „rozszerzać arterye ruchu“ i „służyć dobru społecznemu.“ Bodaj was, moi panowie, licho na łopacie nosiło z takiemi arteryami i z taką służbą! Kto widział energiczną, rzu-

tką, świeżymi pomysłami przeplataną gospodarkę kolejową za granicą, kto tam korzystał z najrozmaitszych biletów po zniżonej cenie, z pociągów nadzwyczajnych, świątecznych, spacerowych, a potem zażył rozkoszy podróżowania naszymi żółwiami parowymi, dla których czas przyjścia i odejścia pociągu jest jeszcze ruchomym— i które dotąd w rozwoju zdołały się posunąć zaledwie do pociągów na odpusty częstochowskie, ten dozna wrażenia takiej różnicy, jak gdyby członek Rady zarządzającej, skończywszy partyę winta w tutejszej resursie, pojechał do Usambary i tam zobaczył waleta treflowego, zawieszonego w świątyni murzyńskiej jako obraz boga władającego burzami na morzu.

Od lat wielu powtarzam te zarzuty bezskutecznie. Ale też nie chodzi mi wcale o to, ażeby słowa moje były nawet kroplami wody, drążącemi kamień, który jest miększym od instytucyj, podtrzymujących głównie kult awansów, gratyfikacyj i synekur. Pragnę tylko z jednej strony otrzeźwić zdrowy rozsądek ogółu, durzonego interesami gromadki ryb wielkich, ogłaszanemi za jego własne dobro, z drugiej — ratować godność prasy, która zaledwie kilkoma głosami w tej sprawie broni owego dobra. Skąd ona może się zdobyć na niezależność i bezstronną krytykę, jeżeli większość pism peryodycznych wrosła korzeniami w grunt kolejowy, jeżeli cały zastęp dziennikarzów posiada synekury lub posady na kolejach żelaznych?

Gazeta rolnicza, która posiada jakiegoś Plutarcha, który piórem, „maczanem we łzach wzruszeń i we krwi serdecznej,“ opisuje jej czyny znakomitych mężów, zaczęła budować „Panteon dla cichej, *skromnej, lecz wielkiej*, bo rzeczywistej cnoty i zasługi.“ W tym Panteonie (który, jak wiadomo, był świątynią) pierwsze miejsce zajmować będzie posąg A. Goltza, a drugie — p. L. Górskiego. Pochlebca, zdobiący ludzi zasłużonych wieńcami nadzwyczajności, jest mimowolnym szydercą ze swego społeczeństwa. Plutarch *Gazety*, który rozciera się przed swym bohaterem na proch łzami skropiony, opowiada o nim, że napisał szereg broszur i artykułów, jest wzorowym gospodarzem i „potrafił osiągnąć z dóbr swoich dochód znakomity,“ krzewił pobożność śród ludu i otaczał go życzliwą opieką. Ponieważ autor nie zdradza, na czem polega naukowa wartość pism rolniczych p. Górskiego, więc zapewne w dziedzinie wiedzy nie były one nową pochodnią i z tytułów jego chwały pozostaje nam tylko: skromnej miary publicysta, rządny, praktyczny i rozumny gospodarz, wierny syn kościoła, prawy człowiek i przyjaciel ludu. Ani jednego z tych zaszczytnych zresztą tytułów nie myślimy zaprzeczać p. Górskiemu; ale skoro ziemiaństwo umiejętnych i zacnych rolników chce wprowadzać do Panteonu, skoro zwykłe cnoty obywatelskie są według niego boskością, to jakież ono wystawia sobie świadectwo o swej wartości ekonomicznej, umysłowej i moralnej? Jeżeli p. Górki istotnie — jak zapewnia jego biograf — jest człowiekiem skromnym, niechętnym do publicznego paradowania z laurem na głowie i przekonanym, że spełniał tylko swoje obowiązki, to niewątpliwie sam pomyśli lub powie swemu chwalcy: panie, dlaczego krzywdzisz swoje społeczeństwo, twierdząc, że w stadzie czarnych ja jestem białym krukiem, że mnie „tylko Bóg łaską swoją a współziomkowie czcią najgłębszą i pamięcią wdzięczną wynagrodzić mogą?“

Uzasadniając społeczne znaczenie swego bohatera, Plutarch *Gazety* pisze: „Zdaniem naszem, konserwatyzm dwojako pojmowanym być może: absolutnie, czyli bezwzględnie, lub też w zastosowaniu do ogółu. W pojęciu pierwszem występuje on jako siła moralna dośrodkowa, hamująca przedwczesne (?) lub zbyteczne (?) wybuchy *bezwzględnego* postępu; w drugim staje na gruncie pewnych tylko wierzeń, zasad lub idei, które uważa za najdroższe społeczeństwu skarby.“

Sądzę, moi czytelnicy, że ja i wy łatwiej byśmy wleźli na słup wielkanocny placu Ujazdowskiego, wysmarowany mydłem, niż wyłuskali sens w tem określeniu konserwatyzmu „bezwzględnego i względnego.“ A jednakże autorowi zdawało się, że on w tych słowach coś jasno rozumiał. O myśli ludzka, jakże ty często grywasz z sobą w ślepą babkę!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Bazar wyrobów kobiecych w Lublinie. — Kilka słów o „roślinie inspektowej.“ — Pożar przędzalni Poznańskiego w Łodzi.

„Jeżeli pozbawimy żydów pola do wyzysku, wtedy zmuszeni będą wziąć się do pracy uczciwej i produkcyjnej“ — zapewnia *Gazeta radomska*. Bardzo słusznie. Będziemy niezmiernie wdzięczni tak jej samej, jak i towarzyszkom prowincyonalnym, jeżeli zamiast mnożenia wody letniej, postarają się skrzętnie zbierać dane, mające związek z działalnością u nas w kierunku zwężania społecznego pola wyzysku żydów, jeżeli zamiast wiary w cudotwórczą moc swoich słów zachęty do zawiązywania spółek kooperacyjnych w naszym kraju, zechcą nas stale informować o istniejących już zdobyczach działalności spółdzielczej, opierającej się przedewszystkiem na inicyatywie jednostek energiczniejszych. Obecnie korzystamy z tego, cośmy pod tym względem znaleźli. W cennej rubrycе „Kuryerek kolejowy,“ prowadzonej z chlubną odwagą cywilną, niebywałą za redakcyi p. Rewolińskiego *), spotykamy sprawozdanie z czynności stowarzyszenia spożywczego oficyalistów drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Czerpiemy. W okresie sprawozdawczym (w r. 1889) stowarzyszenia w Radomiu i Bzinie sprzedały towarów za ogólną sumę 60,021 rs. 3,007, kop. 88½. Jest więc nadzieja, że przy umiejętnem prowadzeniu interesu suma ta z czasem może się nietylko podwoić, lecz nawet potroić. Takie powodzenie podnieca energię, to też na ogólnem zebraniu członków uchwalono otworzyć w Strzemieszycach filię stowarzyszenia, to jest trzeci już sklep.

Ważne są również dane dotyczące stanu gminnych kas zaliczkowo-wkładowych w kraju. *Dziennik łódzki* podaje szczegóły odnośnie do instytucyj tego rodzaju dwóch powiatów gub. piotrkowskiej: łódzkiego i łaskiego. W łódzkim istnieje kas takich trzynaście, a mianowicie: w gminie Brus, Bełdów, Brójec, Puczniew, Aleksandrów, Łagiewniki, Żeromin, Gospodarz, Wiskitno, Nowosolna, Rszew, Górki i Czarnocin. Posiadają one kapitału zakładowego rs. 16,345 kop. 51. Największy kapitał posiada kasa przy gminie Górki (rs. 7,375), najmniejszy — kasa przy gminie Rszew (rs. 600). Niektóre z nich mają dość duży obrót pieniężny, a mianowicie: kasa w gminie Górki wydała w ciągu roku sprawozdawczego pożyczek na rs. 33,945, w gminie Gospodarz na rs. 20,929, w gminie Aleksandrów na rs. 15,913 i w gminie Rszew na rs. 14,875. Najmniej pożyczek wydała kasa gm. Czarnocin, bo rs. 3,185. Wszystkie zaś one wydały pożyczek w r. 1889 na *rs. 150,331*, z tego zwrócono w ciągu tegoż roku *63,081 rs.*, na długach pozostało 87,250. Z procentów od pożyczek udzielonych członkom wpłynęło im w ciągu roku rs. 7,265 k. 19, z kar za nieregularne spłacanie — rs. 77 k. 86. Dochodu czystego w r. 1889 miały one *rs. 3,614 kop. 38*, od początku zaś działalności kas — *rs. 29,380 kop. 58*. W powiecie łaskim istnieje 15 gminnych kas zaliczkowo-wkładowych przy następujących gminach: Lutomiersk, Wodzirady, Bałucz, Łask, Buczków, Wola Wężykowa, Chociw, Wygiełzów, Dąbrowa Rusecka, Widawa, Dłutów, Widzew, Górka Pabianicka, Pruszków i Zapolice. Wszystkie one razem posiadają kapitału zakładowego rs. 12,611 kop. 2; najmniejszy kapitał ma kasa w gminie Widzew (rs. 165 kop. 46), największy — kasa gminy Pruszków (rs. 2,126 kop. 21). Największy obrót za rok ubiegły wykazała kasa gm. Wygiełzów (wydała pożyczek na rs. 9,051), następnie kasa gm. Wodzirady (rs. 8,539), w gminie Widzew (rs. 7,809) i w gminie Pruszków (rs. 7,784), najmniejszy gminy Bałucz (rs. 1,306). Ogółem wszystkie w roku ubiegłym wydały pożyczek na *rs. 75,338*, z czego uczestnicy kas zwrócili w ciągu roku rs. 30,968, na długach pozostało rs. 44,370. Z procentów od pożyczek wpłynęło *rs. 3,692 kop. 92*, z kar za nieregularne spłacanie — *rs. 301 kop. 57*. Dochodu czystego w 1889 roku kasy miały rs. 2,257 kop. 98, od początku zaś swego istnienia rs. 13,833 kop. 46. Szkoda, że nie zostały podane cyfry uczestników, a mielibyśmy jeszcze dokładniejszy obraz tych instytucyj wymienionych 28 gmin; poznalibyśmy lepiej zakres zwężonej działalności żydów-lichwiarzów. Wszak ominęło ich 10,958 rs. i 11 k. odsetków od 325,669 rs. pożyczek, ominęło ich prawie jedenaście tysięcy podniesionych do kwadratu lichwy, a stało się to, jak widzimy, bez udziału praw wyjątkowych.

Tylokrotnie ganiony i odsyłany do krainy mrzonek projekt „Bazaru pracy kobiet“ w Lublinie nareszcie stał się faktem 18 zeszłego miesiąca. Zawdzięcza on swój byt energii pań lubelskich. Sklep ten opiera się na spółce. Uczestniczek-założycielek jest 75, akcye wynoszące po 25 rs. każda. Na pierwszy początek kapitał Bazaru składa się z 2,100 rs., które użyte zostały na wynajęcie sklepu, wykup patentu i zaopatrzenie się w towar. Firmę reprezentuje i zarazem stoi na czele zarządu 8 pań—pani Szymańska. Głównem zadaniem Bazaru jest zaopatrywanie spożywców w rzeczy codziennego użytku po cenach możliwie najtańszych. Przyjaciele tej nowej instytucyi kapitalistycznej zachęcają ją do skierowania swych umizgów w stronę chłopów, przybywających na targi lubelskie. Są to o najmniej zmiennych gustach spożywcy, a co najważniejsza — dostarczają oni od lat kilkunastu „pewnym sklepom“ sporych zysków. My także radzimy Bazarowi obrócić oczy w tamtą stronę, a nuż będzie to jedna z dobrych sposobności „zwężenia pola działania“ współzawodników obcej rasy... Prócz sprzedaży rzeczy gotowych, zakład „pragnie przyjść w pomoc“ licznej masie robotnic. Są to zupełnie słabe ekonomicznie pracownice, bez kapitału i reklamy, zmuszone sprzedawać pracę za bezcen i, zwłaszcza w porze letniej, podlegające ciężkiemu bezrobociu. Bazar więc postanowił pośredniczyć pomiędzy robotnicami a publicznością, przyjmując wszelkie zamówienia na bieliznę, hafty, roboty koronkowe, szmuklerskie itp., albo też wskazując najzdolniejsze robotnice, któreby się obstalunku podjęły. Na samą wieść o tym zamiarze zgłosiło się mnóstwo robotnic z prośbą o pośredniczenie w pracy z *nadzwyczaj* skromnemi żądaniami co do płacy. Słowem, zakład znalazł się w niezmiernie wygodnych warunkach rynkowych i byt swój trwały zawdzięczać będzie sprytowi wyzyskiwaczemu kierowniczek. Może też z czasem, dosięgnąwszy należytego rozwoju, potrafi osiągnąć i poboczne cele, charakteru filantropijnego: miano więc założyć zalecaną niegdyś przez *Gaz. lubelską* szwalnię, w którejby biedne dziewczęta mogły mieć naukę bezpłatną, oraz zacznie dawać im później zaliczki na robo-

---

*) Za poprzedniej redakcyi *Gaz. rad.* korzystała z biletów wolnej jazdy na drodze Dąbrowskiej, czego obecnie, ceniąc swą godność i niezależność, nie czyni. Taki wstręt do futerałów na język, łagodzących ostrość sądu, godnym jest naśladowania. *Przyp. autora.*

ty przyjęte w komis „z możliwie najniższym procentem?“

Nowa instytucya, Bank włościański dla Królestwa Polskiego, nie przestaje zafrasowywać jego zwolenników. Oto co warszawski korespondent *Mosk. Wiedomosti* pisze: „Pożądaną jest rzeczą, aby działalność tutejszego banku włościańskiego była zupełnie wolną od wszelkiej interwencyi lub kontroli miejscowego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Jeżeli pozostanie choćby najmniejszy pozór do mieszania się tej ostatniej instytucyi, można z góry uważać całe przedsiębiorstwo za chybione. Zamiast obdarzenia ziemią tutejszych włościan bezrolnych, których liczą od 700,000 — 1,000,000, lub powiększenia własności mniej zamożnych, stworzona zostanie czasowa wymiana ziemi na chwilę niedogodną dla wielkich posiadaczów gruntowych. Skoro tylko warunki się zmienią, skoro tylko gospodarowanie na roli stanie się zyskowniejszem, wtedy w ten lub ów zręczny sposób ziemia zacznie przechodzić z rąk włościan do dawnych jej posiadaczy. O ile zaś używane są tutaj pewne sposoby, dowodzi fakt następujący. Postanowienia komitetu organizacyjnego zezwalają, aby działy włościańskie w rozmiarze 90 mórg otrzymywały pożyczkę z Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W ostatnich czasach urządzono następującą sztuczkę. „Pewien włościanin skupuje u sąsiadów 90 morgów gruntu, a następnie zwraca się do Towarzystwa o pożyczkę. Pożyczkę wydano i wniesiono do hypoteki, przyczem zapisano poniżej dawnych właścicieli ziemi, którzy nie otrzymali jeszcze w całości pieniędzy, jako dłużników, zgodnie z przepisami Towarzystwa. Nowonabywca nie płaci wcale rat i własność jego w terminie sprzedaną być musi przez licytacyę każdemu stającemu do przetargu. Utrzymał się przy licytacyi żyd, który nabył grunty włościańskie za sumę Towarzystwa. Cała sztuczka była też pomysłem owego żyda, który podstawił chłopa i nabył ziemię za zwrotem pożyczki Towarzystwa z doliczeniem drobnych procentów i kar.“ Sztuczka zostaje sobie sztuczką, ale tem niemniej jest jednym z klasycznych sposobów walki dużego kapitału z drobnym rolnikiem, nawet w granicach ochronnych więzów prawnych. Jesteśmy pewni, że choćby udało się dziś tę szparę własności prywatnej zapchać odpowiednim przepisem prawnym, jutro znajdzie się inne. Działalność współczesnej organizacyi gospodarczej jest tak silną, jak organizacya sama... Wątła „roślina inspektowa“ dużo jeszcze pochłonie usiłowań, tak dużo, jak wyczerpanie stawu sitem!

Tak samo dużo inspekcya fabryczna zużyje jeszcze energii, zanim zdoła fabrykantów nakłonić do uszanowania przepisów bezpieczeństwa ogniowego w ich zakładach. Najlepszym dowodem jest p. Poznański w Łodzi. Przed paru tygodniami spaliła się jego przędzalnia, w której działało 50,000 wrzecion i pracowało 600 robotników. Pozostały inne oddziały fabryki przędzalniczej, ale ponieważ sama przędzalnia już poszła z dymem, przeto, jak oblicza *Dziennik łódzki*, pozbawionych zajęcia robotników zostanie aż 1,600! Straty p. Poznańskiego rychło będą wrócone aż przez 5 towarzystw asekuracyjnych, ale najmici, których on ukształtował i wyćwiczył w przydatnym dla siebie kierunku, a potem trzymał na uwięzi stosunku najemnego, dotkliwiej odczują zmianę położenia. I z czego wynikł pożar? Z garści przędzy, rzuconej nieuważnie przez robotnika na płomień gazowy. Naturalnie, wina robotnika prawie jest żadna. Największą sprawczynią katastrofy jest niedbałość samego p. P. Gdzie się gromadzi tak łatwo palny materyał, jak przędza, płomienie zawsze winny być zabezpieczone cylindrami, że już nie powiem, oświetlenie samo musi być elektrycznem. Oprócz tego zaniedbania, straż ochotnicza, która dokazywała cudów waleczności w czasie pożaru i uratowała od niechybnej śmierci jedenastu robotników, miała sposobność przekonać się, że w fabryce p. Poznańskiego nie było ani drabin ratunkowych, ani okien niekratowanych, ani dostatecznej ilości schodów.

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

I.

„.....stosownie do praw rozwoju wogóle i do praw organizacyi w szczególności, odbywał się i odbywa postęp w przystosowywaniu się ludzkości do stanu społecznego, polegający na przekształcaniu się tego przystosowywania w kierunku zgodności idealnej. Wynikający stąd wniosek, pierwej już wyprowadzony, powtarzam raz jeszcze tutaj: że człowiek ostatecznie rozwinięty takim będzie, iż w nim postęp ten o tyle się ujawni, że wytworzy odpowiedniość pomiędzy wszystkimi popędami natury jego a wszystkiemi wymaganiami jego życia, jako spędzonego w społeczeństwie. A jeżeli tak, to koniecznie stąd wynika, iż istnieć musi idealny kodeks postępowania, zawierający przepisy zachowania się zupełnie przystosowanego człowieka w zupełnie rozwiniętem społeczeństwie. Ten to właśnie kodeks nazywamy tu etyką bezwzględną.....“ (H. Spencer: *Zasady etyki*, str. 256).

Szanowny Redaktorze! Z powodu, iż w ostatnich czasach podnosić się zaczęły często różne głosy w pismach lekarskich i nielekarskich w sprawie t. zw. *etyki lekarskiej*, raczcie i mój głos w Waszej *Prawdzie* umieścić. Nie znam wcale regulaminu t. zw. *etyki lekarskiej*, jednakże zgadzam się z Wami najzupełniej, że etyka owa, pojmowana według *Gazety lekarskiej* (n-ry 9 i 10 z r. b.) właściwie nie jest etyką, lecz raczej kodeksem światowym i koleżeńskim, czemś w rodzaju *savoir-vivre* dla lekarzy; a zatem z tego dałby się wyprowadzić wniosek następujący: ponieważ kodeks światowy wogóle, tj. znajomość pewnych form towarzyskich, wcale nie jest obowiązującym dla wszystkich — jest bowiem wielu takich, którzy się bez niego wybornie obchodzą, a mimo to są zupełnie uczciwymi ludźmi—to i kodeks lekarski, pojęty w sposób wyżej nadmieniony, może być zgoła niepotrzebnym. Inaczej zaś rzecz się przedstawi, jeśli pod t. zw. *etyką lekarską* rozumieć będziemy *moralność lekarską*. Tak pojęta etyka musi i powinna być obowiązującą. Według niej każdy lekarz, czy to *młody*, czy *stary*, powinien być moralnym i uczciwym zarówno względem swych pacyentów, jako też i względem kolegów. A zatem uciekanie się do różnych środków i środeczków (tj. wszelkiego rodzaju reklamy, faktorów, protekcyi, oczerniania kolegów itd.) w celu wyrobienia sobie praktyki, jest zgoła nieetycznem i, jako takie, potępionem być winno.

Zdaniem mojem, lekarz każdy swój postępek ze stanowiska etycznego ocenić potrafi, a jeśli mieć będzie jakąkolwiek pod tym względem wątpliwość, niech odczyta uważnie t. zw. *obietnicę*, którą dajemy po ukończeniu studyów uniwersyteckich, a która jest wypisaną na odwrotnej stronie każdego dyplomu. Obietnica ta jest tak znakomitą w swej prostocie, iż pozwolę ją sobie przytoczyć w całości: „Przyjmując z głęboką wdzięcznością dane mi przez naukę prawa lekarza i pojmując ważność obowiązków, włożonych na mnie przez tę godność, obiecuję przez całe moje życie niczem nie skalać czci tego stanu, do którego obecnie wstępuję. Obiecuję w każdym czasie pomagać, o ile możności najlepiej, uciekającym się do mej pomocy, zachowywać święcie powierzone mi tajemnice rodzinne i nie używać na złe okazanego mi zaufania. Obiecuję studyować naukę lekarską w dalszym ciągu i ze wszystkich sił swoich dopomagać jej rozwojowi, donosząc światowi naukowemu o wszystkiem, co odkryję. Obiecuję nie zajmować się przygotowywaniem i sprzedażą środków sekretnych. Obiecuję być sprawiedliwym względem kolegów swych lekarzy i nie obrażać ich osobistości; wszakże, gdyby to było z pożytkiem dla chorego, obiecuję mówić prawdę wprost i bez obłudy. W wypadkach ważnych obiecuję uciekać się do rady lekarzy więcej umiejących ode mnie i doświadczeńszych; jeśli zaś sam będę wezwanym na naradę, obiecuję według sumienia oddać sprawiedliwość ich staraniom i zasługom.“

W tej „obietnicy“ zawiera się *prawdziwa* etyka lekarska; żałować tylko należy, że nasza obietnica, niestety, po większej części pozostaje martwą literą!

Raczcie przyjąć wyrazy szacunku

Dr. F. N. Strzemieńczyk.

II.

Szanowny Panie!

Dziś dopiero przeczytałam w nr. 12 *Prawdy* z dnia 22 marca odpowiedź od Redakcyi, *Dewajtisa* dotyczącą.

Powieści Urszuli Zöge Manteuffel p. t. *Mark Albrecht* nie znałam, i nie znam; o istnieniu Pani Manteuffel dotąd nie wiedziałam, o rażącem zaś podobieństwie *Marka* do *Dewajtisa* dowiaduję się dopiero z Pańskiego pisma.

Wobec dat i faktów, mogących obciążyć mnie zarzutem naśladownictwa, posyłam Szanownemu Panu niniejsze kategoryczne zapewnienie z uprzejmą prośbą o umieszczenie w najbliższym numerze.

Z poważaniem

Marya Rodziewicz.

Naturalnie zapewnienie p. Rodziewiczówny nie usuwa tych podobieństw między dwiema powieściami, które zaznaczyliśmy.

KRONIKA.

Bezrobocie aktorów.

Bezrobocie aktorów we Lwowie zakończyło się zupełnem ich zwycięztwem i przyjęciem przez dyrektora warunków prawdziwie sedańskiej kapitulacyi. Doprawdy trudno byłoby pojąć, dlaczego p. Szmitt wypowiedział wojnę, którą ukoronował takim traktatem, gdyby Napoleon III nie zaświadczył swym przykładem, że większ od dyrektora teatru lwowskiego robią podobne błędy. No, ale wreszcie ta bezkrwawa kampania, w której, zamiast prochu bezdymnego, używano dymu bezprochowego, dobiegła do kresu. Życząc pogodzonym na przyszłość lepszych stosunków a p. Szmittowi więcej rozwagi w rzucaniu rękawic, pozostaje nam już tylko pod adresem sprawozdawców z pola bitwy przesłać następującą, rozumną uwagę lwowskiego korespondenta *Gazety warszawskiej*: „Co jednak zrozumieć trudno, to tę część publiczności naszej, która dopominających się o korzystniejsze warunki materyalne aktorów darzy wieńcami, to prasę, która zatarg pomiędzy aktorami a przedsiębiorcą teatralnym o gażę czy „feu“ czci mianem przesilenia i sążniste o tem zamieszcza artykuły. Nie mówię jeszcze, gdyby zatargi te odbywały się w innem społeczeństwie. Tymczasem u nas tyle spraw rzeczywiście ważnych leży odłogiem, położenie nasze ekonomiczne jest wprost rozpaczliwe, pomiędzy ludnością wielu powiatów panuje głód i najstraszliwsza nędza, a opinia publiczna zajmuje się tem, czy p. Stanisława Pysznikówna lub p. Rygier lepiej wyjdą na stałej gaży lub też na „feu“ projektowanem przez p. Szmitta? Zaiste, objaw ten byłby bardzo śmiesznym, gdyby jednocześnie nie był tak tragicznym.“

Wiadomości społeczne. Sale zarobkowe im. Staszyca rozwijają się pomyślnie. Między innemi otrzymały one niedawno znaczne zamówienia na dostawę odzieży i obuwia dla kilku szpitali miejscowych. Zakład zatrudnia dziś przeszło 30 stałych pensyonarzów obojga płci, dając im całodzienne utrzymanie i część zarobku.

— Mieszkańcy okolic Wieruszowa (gub. kaliska) uskarżają się na brak robotników. Powodem jest wychodźtwo do Saksonii, skąd przysłano agentów, werbujących najemników do robót około plantacyi buraków. Agentami są kobiety.

— W zeszłym tygodniu przedstawienie „Halki“ w Teatrze Wielkim w Warszawie przyniosło szpitalowi na Pradze przeszło tysiąc rubli.

— Stowarzyszenie pracy kobiet w Petersburgu zamierza otworzyć Muzeum wyrobów kobiecych w różnych gałęziach przemysłu.

— Rząd niemiecki zgodził się na odłączenie urzędowe starokatolików od kościoła katolickiego.

— Krakowskie Towarzystwo opieki zdrowia, założone w roku zeszłym z inicyatywy dr. Henryka Jordana, liczy 458 członków. Organ Towarzystwa, *Przewodnik hygieniczny*, liczy 817 abonentów.

— W Krakowie z zezwolenia namiestnictwa zostaje otwartą na nowo „Czytelnia akademicka.“ Będzie ona pozostawać pod opieką senatu, który mianuje dla niej kuratora.

— Przeszło 20,000 czeladników mularskich urządziło w Wiedniu zmowę.

— W Goblenz (w północnych Czechach) robotnicy hut szklanych zawiesili roboty.

— W kopalniach Charleroi (Francya) wybuchła zmowa górników.

— Zmowa w kopalniach węgla w okręgu górniczym Gelsenkirchen (Niemcy) skończyła się.

— W Iwaniskach pod Sandomierzem ma powstać stowarzyszenie spożywcze.

Szkoły. W instytucie komunikacyi, według nowej ustawy, przywrócony zostaje pierwszy kurs, na który wolno będzie przyjmować 60 kandydatów i to takich, którzy skończyli gimnazya z medalami.

— W Wiłkomierzu (gub. kowieńska) będzie otwarta średnia szkoła gospodarczo-techniczna.

— Ministeryum oświaty ma rozstrzygnąć w tych czasach projekt zamknięcia w warszawskim okręgu naukowym kilku gimnazyów i otworzenia natomiast niezbędnej liczby szkół fachowych z funduszów pozostałych po zwinięciu. (*Warsz. Dniewn.*).

— Pp. Helenie Kuplińskiej i Emilii Goldmanowej wydano pozwolenie na otwarcie w Warszawie dwóch szkółek freblowskich.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt specyalnych szkół jedwabniczych i hodowli wina.

— Studenci piotrowskiej Akademii rolniczej, należący do niższych stopni zapasu, zostają uwolnieni od ćwiczeń wojskowych, na zasadach przyjętych dla studentów wyższych zakładów naukowych ministeryum oświaty.

— W Krakowie obradował w tych dniach zjazd nauczycieli szkół wyższych, na którym rozbierano ważne sprawy reformy nauki i egzaminu w szkołach średnich, ubytku i małego uposażenia nauczycieli szkół wyższych itd.

— Władza naukowa udzieliła p. Poświkowej pozwolenie na otwarcie w Warszawie dla kobiet szkoły rzemiosł artystycznych i sztuki stosowanej.

— Personel nauczycielski w galicyjskich szkołach publicznych liczy przeszło 300 osób.

— Szkoła przemysłowa we Lwowie ma być otwarta we wrześniu r. b.

Zdrowie publiczne. Istnieje projekt zaprowadzenia we wszystkich większych miastach książeczek sanitarnych, w których lokatorowie będą mogli zapisywać skargi na dostrzeżone w domu wykroczenia przeciwko zdrowotności publicznej.

— Zarząd szpitala w Tworkach stara się wyjednać oddzielny przedział w wagonach 3-ej klasy dla obłąkanych.

— Będzie utworzona specyalna komisya, która się zajmie obmyśleniem środków, zapobiegających rozwojowi chorób zaraźliwych w okolicach Warszawy.

— Przy radzie lekarskiej ministeryum spraw wewnętrznych utworzona została komisya, która się zajmie przerobieniem istniejącej obecnie ustawy lekarskiej.

— W Ciechocinku otwarty będzie w maju szpital dla 50 chorych. Opłata 60 kop. na dobę.

Wiadomości administracyjne. Ministeryum skarbu poruszyło sprawę przejrzenia podatków gruntowych w Królestwie Polskiem. Przekształcenie ich, polegające na zastąpieniu różnych drobnych poborów podatkiem gruntowym, unormowanym stosunkowo do wartości i intraty gruntów i użytków, uskutecznionem było jeszcze za Milutina, przyczem prawo orzekło, że po upływie pewnych okresów czasu wysokość podatków gruntowych ulegać ma rewizyi i zmianie, stosownie do cen i dochodów własności ziemskiej w całych powiatach. Dotychczas jednak podatki gruntowe nie były rewidowane, pomimo że intratność gruntu w kraju powiększyła się kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat 20. Również w r. 1868 wydano przepisy czasowe, dotyczące miejscowego opodatkowania poborami gminnymi po wsiach i miastach. Praktyka, jak sądzą *Pet. Wied.*, dawno już wykazała niewłaściwość systemu ponoszenia tych opłat, a jednak przepisy czasowe zamieniły się na stałe. Wobec tego postanowiono przejrzeć pierwsze i drugie.

— Wkrótce rozsyłana będzie do inspektorów fabrycznych instrukcya w sprawie pracy małoletnich i kobiet w fabrykach.

— Ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa projekt powiększenia kaucyj, wymaganych od właścicieli lombardów prywatnych.

Przemysł. W Sielcu, w gwarectwie Kramsty wykończono w tych dniach wielki piec, należący do Towarzystwa „Laura und Königshütte.“ Dostarczać on będzie rocznie około 1 i pół miliona pudów surowca.

— *Ogrodnik polski* zachęca właścicieli ogrodów do hodowania śliwek węgierek w kraju na wielką skalę. Przetwory z nich można by sprzedawać do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, gdzie hodowla śliwek nieudaje się z powodu nieprzyjaznych warunków klimatycznych.

— Mieszkający w Bucharze p. Julian Janczewski utrzymuje, że rynki Kaukazu i okolic Samarkandy nie przedstawiają korzystnych widoków dla wyrobów przemysłu warszawskiego, są bowiem opanowane przez ormian. Natomiast bardzo podatnem polem ma być Turkiestan. Brak tam wszystkiego; spółka przemysłowców, zakładając bazar wyrobów przemysłu polskiego w Karky nad Amu Darya, otworzyłaby sobie, zdaniem p. J., obfite źródło dochodów. Kilkanaście tysięcy rubli wystarczyłoby do opanowania rynków handlowych.

Rolnictwo. W powiecie stopnickim w ostatnich latach dziesięciu włościanie zakupili drobnemi działkami przeszło 29 majątków.

— Komisya obradująca nad sposobami przyjścia z pomocą rolnictwu, ukończyła już swe zajęcia. Jednym z głównych środków ma być utworzenie taniego kredytu.

— W sferach rządowych poruszono myśl, aby rolnicy, używający do gospodarstwa starych maszyn parowych, uwolnieni byli od konieczności wykupowania świadectwa gildyjnego, co było dotychczas obowiązującem.

Sprawy kolejowe. Główne Towarzystwo ruskich dróg żelaznych na ważniejszych stacyach wszystkich swoich linij zamierza w ciągu nadchodzącego lata rozszerzyć składy dla przechowywania zboża.

— Departament kolejowy orzekł, że może zgodzić się na propozycyę wykupu kolei Bydgoskiej i podział równy zysków po nad 6 rs. dywidendy, lecz z pominięciem warunku usunięcia stosowania prawa taryfowego i z pozwoleniem na konwersyę obligacyj, z tem jednak zastrzeżeniem, że nowe obligacye nie będą uwolnione od podatku kuponowego.

Literatura. Redakcya *Kolców* ogłasza, iż postanowiwszy wydać jednodniówkę humorystyczną pod tytułem „Na garnuszek,“ na korzyść niemowląt pozbawionych rodziny, i otrzymawszy na to pozwolenie, prosi pracowników pióra i ołówka o przyjęcie udziału w wydawnictwie i nadsyłanie prac do 24 b. m. pod adresem: Redakcya *Kolców*, ul. Niecała, 12. Rysunki mogą być wykonane na kalce, blasze cynkowej lub papierze Angerera (szerokość 8 cali, długość 11). Rękopisy na 20—30 wierszy druku.

— Rabin, dr. N. Brüll we Frankfurcie n. M. rozpoczął wydawnictwo dwumiesięcznika *Central-Anzeiger für jüdische Literatur*.

Zmarli. Armand de Portmartin; dziennikarz, fejletonista *Gazette de France*. Krytyk-legitymista.

— Dr. Józef v. Held, prof. wszechnicy w Würzburgu, prawnik i publicysta.

— Paweł Andrejewskij, b. wydawcą i redaktor gazety kijowskiej *Zaria*, która zmieniła tytuł na *Kiewskoje Słowo*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

W. W. Myśli dobre, oprawa ich tu i owdzie misterna, ale zarazem wiele wyrażeń ułomnych: „niech zgoda walkę *zamieni*,“ „dziecięciem ujrzał(em)“ itp. Przytem treść pierwszego fragmentu niejasna.

Panu F. w Krak. Przepraszamy za spóźnienie odpowiedzi. To nie utwór artystyczny, ale opowiedziany figiel.

P. M. P. w Kijowie. Być może, iż Pan kiedyś będzie mógł po Parnasie biegać, ale to pewna, że dziś nie umie Pan jeszcze chodzić. Bo czyż podobna mówić o cnotach poetycznych wiersza, w którym znajdują się takie grzechy gramatyczne: żadziej, w te porę życie wrę, wzgórza wyszli, żurawie, tylę, większąść itp.

Pani Fel. Kow. w Piotr. Adres: Muzeum pszczelnicze.

P. Ad. Zasz. w Krak. Spis naszych wydawnictw powtarzamy często w numerach *Prawdy*. Co do wydawnictwa im. J. nabyć je można w każdej zasobniejszej księgarni.

Société des Étudiantes de l'Université w Genewie udziela wszelkich informacyj kobietom pragnącym uczęszczać na uniwersytety.

Panu S. P. w Tyflisie. Właśnie że uzyskanem być nie może i w tem tkwi rozwiązanie zagadki.

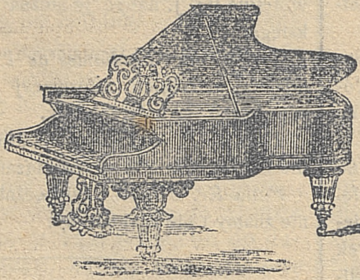
Panu Kr. w Jekat. Podręcznika do nauki stolarstwa nie znamy i nie znaleźliśmy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Magazyn Mebli
MAKSYMILJANA KALMUS
w Warszawie, Grzybowska 37,

poleca: *Różnego rodzaju Meble, począwszy od najskromniejszych do najwykwintniejszych — stylowych.*
Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia mieszkań.

GEBETHNER i WOLFF
NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Fortepianów i Pianin



☞ Sprzedaż na raty. ☜ | Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

NATURALNE WINA

Węgierskie, Francuskie czerwone i białe ***od rs. 1 za butelkę,*** Hiszpańskie, Burgundzkie, Reńskie, Szampańskie, Koniaki, Rumy, Likiery i Śliwowice zagraniczne odstałe, ***Starkę,*** poleca

Handel Win, Delikatesów i Towarów kolonialnych
H. Drzewieckiego i Sp.
Mazowiecka Nr. I, gdzie dawniej St. Riedel.

W pokojach przy Handlu wydawane są śniadania i kolacye á la Carte.

Biuro Bankowe Administracyi „Gazety Losowań,“ Krakowskie-Przedmieście (Nr. 51).

załatwia wszelkie operacye pieniężne za komisowem 1‰ (jednego rubla od tysiąca). Biuro kupuje i sprzedaje papiery publiczne, banknoty i monety zagraniczne, udziela zaliczeń na papiery do 95% wartości kursowej, asekuruje Pożyczki premiowe, realizuje wylosowane papiery oraz niepłatne kupony, otwiera rachunki bieżące.

Mając swych korespondentów we wszystkich główniejszych miastach oraz w stacyach klimatycznych i kuracyjnych, Biuro wydaje przekazy do tych miejscowości nawet drogą telegraficzną.

Wszystkich informacyj o wylosowanych papierach, dywidendach i innych kwestyach finansowych, Biuro udziela **bezpłatnie.**

Adres: „GAZETA LOSOWAŃ,“ WARSZAWA.



Bielańska Nr. 9,
Hotel Paryzki.

Józef **Świątkowski**
SZEWC,
poleca
WYBÓR OBUWIA
Damskiego, Męzkiego i Dziecinnego.

Ceny umiarkowane.

Wyszło w Paryżu i jest do nabycia we wszystkich księgarniach
Winiarski Leon
„STOSUNKI SPOŁECZNE W ANGLII.“
Cena kop. 50, z przesyłką kop. 55.
Skład główny w księgarni G. CENTNERSZWERA, Marszałkowska 147.

Wina Krymskie i Zagraniczne

oraz



Lepszy na cele lecznicze, niż Koniaki francuskie, z których największa część z powodu wyniszczenia winnic przez filokserę, tworzy się ze spirytusu kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie ciąży na takowym wysokie cło i transport około 2 rs. z butelki, otrzymać można wyłącznie

w Składzie Win
BRACI KEMPNERÓW
Długa Nr. 5.

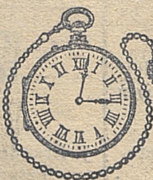
Cena: 1/1 but. rs. 1,50, 1/2 k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po 6 butelek wysyłają się do wszystkich St. Dr. Ż. franco w Królestwie po rs. 9.

Podana przez SMOŁĘ przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko BLAGĄ, opartą na własnej reklamie dla złowienia świeżego wspólnika.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR“
OSUSZA WILGOĆ. ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYBKA i t. p. — BROSZURKA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.
POSZUKUJĘ AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanemi smołami, vel gudronitami.

JAN LAUTERBACH
ZEGARMISTRZ,
143, Marszałkowska 143,
poleca:



Znaczny skład zegarów i zegarków, wyłącznie z pierwszorzędnych fabryk, oraz **wielki wybór dewizek złotych, srebrnych i imitacyjnych.**

Sprzedaż i reperacya z 2-letniem poręczeniem.

Uwaga. **Wejście do sklepu z bramy**
143, Marszałkowska 143.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Żetony Uniwersyteckie

przygotował Zakład Optyczno-Mechaniczny **Juljana Drehera,** Szpitalna Nr. 6.

Ceny najniższe.

„Na Raty“
Lustra
sprzedaje miejscowym i na prowincyę
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na **dokładny adres** z powodu istniejących firm podobnych i na **umieszczony w wystawie** napis **„Na raty.“**

Księgarnia, Skład Nut
i CZYTELNIA
Juljana Guranowskiego
Senatorska 32,

załatwia jak najskrupulatniej wszelkie czynności w zakres księgarstwa wchodzące. Zamówienia z prowincyi za zaliczeniem pocztowem.

Sprzedaż
Płótna, Barchanu, Perkalu i Bielizny damskiej
Hoża Nr. 14, **B. R. Jabłkowscy.**

Binokle, Okulary
LORNETKI
oraz wszelkie wyroby optyczne
o 25% taniej u optyka
JULIANA DREHERA
Szpitalna 6, w Warszawie.
Wszelkie reperacye przyjmuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 30 Марта 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**